

K A T E Q U I N N
Ł O W C Z Y N I

Przełożyła
Anna Gralak

MANDO 

Powieść *Łowczyni* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published under the title *The Huntress*

© Kate Quinn, 2019
All rights reserved

Opublikowane w porozumieniu z HarperCollins. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Klemzy/Shutterstock; © Everett Collection/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2606-3

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAŁ • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Mojemu ojcu –
jak ja za tobą tęsknię!

PROLOG

Jesień 1945
Altaussee, Austria

Nie przywykła do tego, żeby na nią polowano.

Naprzeciw niej rozpościerało się szaroniebieskie połyskujące jezioro. Kobieta spojrzała na nie, opierając lekko dłonie na kolanach. Na ławce obok niej leżała złożona gazeta. Wszystkie nagłówki trąbiły o aresztowaniach, śmierci, zbliżających się procesach. Wyglądało na to, że rozprawy odbędą się w Norymberdze. Znała mężczyzn, których zamierzano tam sądzić. Część z nich kojarzyła tylko z nazwiska, inni w geście przyjaźni stukali się z nią kieliszkami szampana. Ich los był przesądzony. Zbrodnie przeciwko pokojowi. Zbrodnie przeciwko ludzkości. Zbrodnie wojenne.

„Wedle jakiego prawa? – miała ochotę zawołać, wymachując pięściami w obliczu takiej niesprawiedliwości. – Wedle jakiego prawa?” Ale wojna dobiegła końca i teraz to zwycięzcy decydowali, co jest przestępstwem, a co nie. Co jest humanitarne, a co nie.

„To, co zrobiłam, było humanitarne – pomyślała. – To był akt łaski”. Ale zwycięzcy nigdy nie przyznaliby jej racji. Wydawaliby wyroki w Norymberdze i jeszcze długo potem, orzekając, za jakie czyny popełnione zgodnie z prawem w przeszłości należy teraz założyć stryczek na czyjąś szyję.

Na jej szyję.

Dotknęła swojego gardła.

„Uciekaj – pomyślała. – Jeśli cię znajdą, jeśli odkryją, co zrobiłaś, na pewno cię powieszają”.

Tylko dokąd miałyby pójść w świecie, który odebrał jej wszystko, co kochała? W świecie polujących wilków. Kiedyś sama polowała, teraz stała się ofiarą.

„Zatem się ukryj – pomyślała. – Schowaj się w cieniu i zaczekaj, aż pogoń cię ominie”.

Wstała i zaczęła się snuć wzdłuż jeziora. Przywoływało bolesne wspomnienia o jeziorze Rusałka, jej przystani w Polsce, teraz już zburzonej i utraconej. Wysiłkiem woli szła dalej, noga za nogą. Nie wiedziała, dokąd idzie, była pewna jedynie tego, że nie chce tkwić w tym miejscu sparaliżowana strachem, aż położą ją na szali swojej fałszywej sprawiedliwości. Z każdym kolejnym krokiem rosła w niej determinacja.

Uciekaj.

Schowaj się.

Albo giń.

ŁOWCZYNI

Ian Graham
Kwiecień 1946

Sześć strzałów.

Oddała sześć strzałów nad brzegiem jeziora Rusałka, a potem wcale nie próbowała ukryć tego, co zrobiła. Bo i dlaczego miałyby to ukrywać? Marzenie Hitlera o imperium wciąż jeszcze było żywe i nie musiała się przed nikim tłumaczyć. Tamtej nocy pod polskim księżycem mogła robić, co chciała – zamordowała więc z zimną krwią sześć osób.

Sześć strzałów, sześć kul, sześć ciał wpadających do ciemnej wody.

Ukrywali się nad brzegiem jeziora, trzęsąc się i wytrzeszczając oczy ze strachu – być może uciekli z jednego z transportów jadących na wschód albo ocaleli z którejś z czystek regularnie przeprowadzanych w tym regionie. Ciemnowłosa kobieta znalazła ich, pocieszyła, powiedziała, że są bezpieczni. Zabrała ich do swojego domu nad jeziorem i nakarmiła z uśmiechem.

A potem wyprowadziła ich z powrotem na zewnątrz i zabiła. Gdy było już po wszystkim, może stała tam przez chwilę, podziwiając odbicie księżyca w tafli wody, czując zapach prochu strzelniczego.

Ta nocna rzeź sześciu osób w szczytowym momencie wojny była tylko jedną z jej zbrodni. Popełniła też inne. Polowanie na polskich robotników w gęstym lesie traktowała jak grę towarzyską. Pod koniec

wojny zamordowała młodego angielskiego jeńca wojennego, który uciekł z obozu. Kto wie, jakie jeszcze zbrodnie ma na sumieniu.

Nazwano ją *die Jägerin*, Łowczynią. Była młodą kochanką oficera ss w okupowanej przez Niemcy Polsce, wydawała wspaniałe przyjęcia nad jeziorem, lubiła strzelać. Może to ona była rusałką, od której wywodziła się nazwa jeziora, złym duchem wodnym przynoszącym śmierć.

Myszę o niej, siedząc wśród dziennikarzy w Pałacu Sprawiedliwości w Norymberdze i obserwując przeciągające się procesy zbrodniarzy wojennych. Koło sprawiedliwości się obraca, mężczyźni o poszarzałych twarzach na ławie oskarżonych niechybnie pod nie wpadną. Ale co z mniejszymi rybami, które uciekają i kryją się w cieniu, gdy kierujemy ostre światła na tę salę sądową? Co z Łowczynią? Zniknęła pod koniec wojny. Nie warto było jej ścigać, miała na rękach krew najwyżej tuzina osób, a przecież należało znaleźć tych, którzy zamordowali miliony. Takich jak ona – rybek niewartych łapania – było wiele.

Dokąd popłynęły?

Gdzie się schowała?

I czy ktokolwiek ruszy w pościg?

I

I

JORDAN

Kwiecień 1946

Nad jeziorem Selkie, trzy godziny drogi na zachód od Bostonu

– Kim ona jest, tato?

Jordan McBride zadała to pytanie w idealnym momencie: jej niespodziewający się tego ojciec aż podskoczył podczas zarzucania wędki. Wędka wprawdzie nie wpadła do jeziora, ale zawisła na gałęzi pobliskiego klonu. Gdy na twarzy ojca odmalowało się komiczne przerażenie, rozległ się pstryk aparatu Jordan. Ojciec rzucił kilka przekleństw, a po chwili kazał jej szybko o nich zapomnieć. Roześmiała się.

– Rozkaz! – Oczywiście słyszała je wszystkie już wcześniej. To zrozumiałe, gdy jest się jedyną córką wdowca, zabierającego ją w wiosenne weekendy na ryby w zastępstwie syna, którego nigdy nie miał. Ojciec wstał i wypłatał wędkę z gałęzi. Jordan podniosła leicę, żeby pstryknąć kolejne zdjęcie jego ciemnej sylwetki odznaczającej się na tle pierzastych drzew i wody. Później zamierzała pobawić się tym obrazem w ciemni, sprawdzić, czy uda się lekko rozmazać liście, żeby na zdjęciu wyglądały, jakby wciąż się poruszały...

– No, tato – zachęciła go. – Opowiedz mi o tej tajemniczej kobiecie.

Poprawił wypłowiałą czapkę Red Soxów na głowie.

– O jakiej tajemniczej kobiecie?

– O tej, z którą, jak się dowiedziałam od twojego pracownika, chodziłeś na kolacje w tych dniach, kiedy twierdziłeś, że musisz zostać

dłużej w antykwariacie. – Jordan z nadzieją wstrzymała oddech. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni jej ojciec był na randce. Przy tych rzadkich okazjach, gdy chodzili razem do kościoła, różne panie często machały do niego po niedzielnej mszy, przebijając palcami w rękawiczkach, lecz ku jej rozczarowaniu nigdy nie wydawał się nimi zainteresowany.

– To nic ważnego, naprawdę... – Zwlekał z odpowiedzią, ale Jordan nie dała się zwieść. Byli do siebie bardzo podobni z wyglądu. Zrobiła mu tyle zdjęć, że doskonale o tym wiedziała: proste nosy, równe brwi, włosy ciemny blond, krótko przystryżone pod czapką ojca i wysypujące się spod czapki Jordan, która ściągała je w niedbały kucyk. Teraz, gdy miała już prawie osiemnaście lat, byli nawet tego samego wzrostu: średniego jak na mężczyznę i wysokiego jak na dziewczynę. Ale łączyło ich nie tylko fizyczne podobieństwo – Jordan znała swojego ojca. Odkąd miała siedem lat i zmarła jej matka, byli tylko we dwoje. Wiedziała, kiedy Dan McBride zbiera się w sobie, by powiedzieć jej coś ważnego.

– Tato – odezwała się surowym tonem. – Wykrztuś to wreszcie.

– Pani Weber jest wdową – powiedział w końcu ojciec. Ku wielkiemu zadowoleniu Jordan zarumienił się. – Zjawiała się w sklepie trzy miesiące temu. – W dni powszednie jej ojciec wkładał trzyczęściowy garnitur i z mądrą miną stał za ladą antykwariatu McBride’a przy Newbury Street. – Właśnie przyjechała do Bostonu z zamiarem sprzedania biżuterii, żeby zdobyć środki na życie. Kilka złotych łańcuszków i medalionów, nic szczególnego, ale miała też piękny sznur szarych pereł. Trzymała się dzielnie, dopóki nie przyszła pora rozstać się z tymi perłami. Wtedy się rozplakała.

– Niech zgadnę. Bardzo szarmancko je zwróciłeś, a potem zażyłeś cenę pozostałych rzeczy, żeby mogła wyjść z kwotą, za jaką zamierzała sprzedać wszystkie kosztowności.

Nawinał żyłkę.

- Poza tym wyszła z zaproszeniem na kolację.
- Proszę, proszę, Errolu Flynnie! Opowiadaj dalej...
- Jest Austriaczką, ale w szkole uczyła się angielskiego i włada nim niemal płynnie. Jej mąż zginął na wojnie w czterdziestym trzecim...
- Po której stronie walczył?
- Jordan, to już nie powinno mieć znaczenia. Wojna dobiegła końca. - Założył nową przynętę. - Dostała potrzebne papiery, żeby przyjechać do Bostonu, ale jest jej ciężko. Ma córeczkę...
- Naprawdę?
- Ruth to czterolatka, prawie się nie odzywa. Urocze maleństwo. - Pociągnął za daszek czapki Jordan. - Będziesz nią zachwycona.
- Więc to poważna sprawa - stwierdziła zaskoczona Jordan. Gdyby sprawa nie była poważna, ojciec nie znalazłby dziecka tej kobiety. Ale jak poważna...?
- Pani Weber to wspaniała kobieta. - Zarzucił wędkę. - W przyszłym tygodniu chcę ją zaprosić do nas na kolację, ją i Ruth. Będziemy wszyscy czworo.

Rzucił jej niepewne spojrzenie, jakby się obawiał, że Jordan się zjeży. A ona była zmuszona przyznać, że w pewnym sensie rzeczywiście trochę się zjeżyła. Przez dziesięć lat byli tylko we dwoje, kumpłowała się z nim tak, jak niewiele jej koleżanek kumpłowało się ze swoimi ojcami... Temu odruchowemu ukłuciu zaborczości towarzyszyła jednak ulga. Jej ojciec potrzebował kobiety w swoim życiu. Jordan wiedziała o tym od lat. Potrzebował kogoś, z kim mógłby rozmawiać, kogoś, kto zmusiłby go do jedzenia szpinaku. Kogoś, kto by go wspierał.

„Jeśli w jego życiu znajdzie się ktoś inny, może ojciec przestanie się sprzeciwiać i puści cię do college’u”, przemknęło jej przez głowę, ale natychmiast odepchnęła tę myśl. W takiej chwili powinna cieszyć się szczęściem ojca, a nie mieć nadzieję, że sytuacja obróci się na jej korzyść. Zresztą naprawdę się cieszyła. Od lat robiła mu zdjęcia i bez względu na to, jak szeroko uśmiechał się do obiektywu, rysy jego

twarzy wynurzające się jak zjawy z wywoływacza mówiły: „Samotny, samotny, samotny...”

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam – powiedziała szczerze.
– Przyjdą z Ruth w następną środę o szóstej. – Zrobił niewinną minę. – Jeśli chcesz, możesz zaprosić Garretta. On też należy do rodziny. W każdym razie mógłby należeć...

– Jesteś subtelny jak zderzenie pociągów, tato.
– To dobry chłopak. A jego rodzice cię uwielbiają.
– On teraz myśli o wyjeździe do college'u. Może już nie będzie miał czasu dla dziewczyny z liceum. Oczywiście mógłbyś mnie wysłać razem z nim – zaczęła Jordan. – Na Uniwersytecie Bostońskim mają kursy fotografii...

– Sprytne zagranie, moja panno. – Ojciec spojrział na jezioro. – Ryby nie biorą. – On też nie dał się nabrać.

Gdy oboje zeszli z pomostu, Taro, ich czarna labradorka wygrzewająca się w słońcu nad brzegiem, podniosła łeb. Jordan pstryknęła zdjęcie dwóch cieni na wypaczonych przez wodę deskach, zastanawiając się, jak wyglądałyby cztery sylwetki. „Proszę – pomodliła się w duchu, myśląc o nieznanej pani Weber – daj się polubić”.



Szczupła dłoń wyciągnęła się w jej stronę, a w niebieskich oczach pojawił się uśmiech.

– Jak miło wreszcie cię poznać.

Jordan uściśnęła rękę kobiety, którą ojciec wprowadził do salonu. Anneliese Weber była drobna i szczupła, ciemne włosy związała na karku w lśniący kok i oprócz sznura szarych pereł nie miała innej biżuterii. Ciemna kwiecista sukienka, zacerowane, ale nienagannie czyste rękawiczki, stonowana elegancja z delikatnymi śladami zużycia. Miała młodą twarz – tata Jordan wspomniał, że Anneliese

ma dwadzieścia osiem lat – ale jej oczy wyglądały starzej. To zrozumiałe. Była wojenną wdową z małym dzieckiem, zaczynającą życie od nowa w obcym kraju.

– Bardzo mi miło – powiedziała szczerze Jordan. – A to na pewno Ruth! – Dziecko u boku Anneliese Weber wyglądało uroczo: jasne kucyki, niebieski płaszcz i... ponura minka. Jordan wyciągnęła rękę, ale Ruth się cofnęła.

– Musi się oswoić – przeprosiła Anneliese. Miała wyraźny, niski głos, prawie bez śladu niemieckiego akcentu. Słysząc było jedynie lekką miękkość przy wymawianiu „w”. – Żyła w bardzo niespokojnym świecie.

– W twoim wieku też nie lubiłam obcych – powiedziała Jordan, zwracając się do dziewczynki. W zasadzie nie była to prawda, ale coś w nieufnej buzi Ruth sprawiło, że Jordan zapagnęła uspokoić tę małą. Poza tym chciała zrobić jej zdjęcie. Wiedziała, że obiektyw dosłownie wchłonie te okrągłe policzki i jasne kucyki. Ojciec wziął płaszcze, a Jordan pobiegła do kuchni, żeby sprawdzić, co z klopsem. Zanim wróciła, pospiesznie zdejmując ścierkę, którą zatknęła sobie w tali, by chronić niedzielną sukienkę z zielonej tafty, ojciec zdążył nalać napoje. Ruth siedziała na kanapie ze szklanką mleka, a Anneliese Weber sączyła sherry i rozglądała się po pokoju.

– Uroczy dom. Jesteś młodą gospodynią, Jordan, ale radzisz sobie bardzo dobrze.

„To miło, że skłamała”, pomyślała z uznaniem Jordan. Dom McBride’ów zawsze sprawiał wrażenie zaniedbanego: wąski, trzykondygnacyjny budynek z brunatnego piaskowca w zamożnej części południowego Bostonu, strome schody, wysiedziane i wygodne kanapy, wiecznie przekrzywione dywany. Anneliese Weber nie wyglądała na osobę aprobującą przekrzywienia, była wyprostowana jak struna i każdy włoszek miała starannie upięty, ale mimo to rozglądała się z uznaniem.

– Sama je zrobiłaś? – Skinęła w stronę zdjęcia bostońskiego parku Common spowitego mgłą i przechylonego pod kątem nadającym panoramie niezmiernie wyidealizowany wygląd krajobrazu ze snu. – Twój ojciec wspominał, że jesteś świetną... Jak brzmiało to słowo? Pstrykaczka?

– Tak. – Jordan szeroko się uśmiechnęła. – Czy później będę mogła zrobić pani zdjęcie?

– Nie zachęcaj jej. – Dan McBride uśmiechnął się i poprowadził Anneliese w stronę kanapy, z szacunkiem dotykając jej pleców. – Jordan już i tak za często gapi się przez obiektyw.

– Lepsze to, niż gapić się w lustro albo w telewizor – odrzekła niespodziewanie Anneliese. – Młode dziewczyny powinny mieć w głowach coś więcej niż szminkę i chichotanie, bo inaczej z niemądrych dziewczyn wyrosną jeszcze bardziej niemądre kobiety. Chodzisz na jakieś... kursy fotografii?

– Kiedy tylko mogę. – Odkąd Jordan skończyła czternaście lat, zapisywała się na wszystkie kursy fotografii, jakie była w stanie opłacić z kieszonkowego, i zakradała się na zajęcia w college'u, ilekroć zdołała znaleźć wykładowcę gotowego przymknąć oko na obecność przycupniętej w tylnym rzędzie nieopierzonej uczennicy z przedostatniej klasy liceum. – Chodzę na kursy, uczę się sama, ćwiczę...

– Żeby być w czymś dobrym, trzeba podchodzić do tego poważnie – powiedziała z uznaniem Anneliese. Jordan poczuła w piersi ciepłe światło. „Dobrym”. „Poważnie”. Ojciec nigdy nie podchodził do pasji Jordan w ten sposób. Nazywał ją „wyglupami z aparatem” i kręcił głową, dodając: „Wyrośniesz z tego”. „Nie wyrosnę – odpowiedziała mu Jordan, gdy miała piętnaście lat. – Będę następną Margaret Bourke-White”. „Kim?”, spytał ze śmiechem. Śmiał się serdecznie, wyrozumiale, ale jednak się śmiał.

Anneliese się nie śmiała. Patrzyła na zdjęcie Jordan i z uznaniem kiwała głową. Jordan pierwszy raz dopuściła do siebie słowo „macocha”.

Przy stole, na który Jordan wyłożyła świąteczną porcelaną, Anneliese zadawała pytania dotyczące antykwariatu, a ojciec Jordan nakładał jej na talerz najsmakowitsze kąski.

– Znam świetny sposób na przywrócenie połysku kolorowemu szkłu – powiedziała pani Weber, gdy Dan McBride mówił o lampach od Tiffany’ego, które kupił na wyprzedaży. Słuchając, jak Jordan opowiada o zbliżającej się szkolnej potańcówce, bez słowa poprawiła widelec w ręczce Ruth. – Taka ładna dziewczyna jak ty na pewno ma z kim pójść.

– Idzie z Garrettem Byrne’em – odrzekł ojciec, ubiegając ją. – To miły młody człowiek. Pod koniec wojny zaciągnął się do wojska, żeby zostać pilotem, ale nigdy nie brał udziału w walce. Dostał zwolnienie, bo złamał nogę w czasie szkolenia. Poznasz go w niedzielę, jeśli będziesz miała ochotę wybrać się z nami do kościoła.

– Chętnie. Bardzo starałam się znaleźć jakichś przyjaciół w Bostonie. Chodźcie na mszę co tydzień?

– Oczywiście.

Jordan zakasłała w serwetkę. Zwykle chodzili do kościoła nie częściej niż dwa razy w roku, na Wielkanoc i Boże Narodzenie, ale teraz jej ojciec siedział u szczytu stołu i wyraźnie emanował pobożnością. Anneliese uśmiechnęła się równie pobożnie i Jordan pomyślała o parach, które przed ślubem starają się pokazać siebie od najlepszej strony. Widywała takie scenki codziennie na szkolnych korytarzach i wyglądało na to, że w wypadku starszego pokolenia odbywa się to podobnie. Może byłby z tego dobry materiał na foto-reportaż: seria zdjęć porównawczych, pary w różnym wieku na etapie zalotów, podkreślenie podobieństw niezależnych od metryki. Z odpowiednimi tytułami i podpisami mogłyby stworzyć wystarczająco mocną całość, by wzbudzić zainteresowanie jakiegoś czasopisma albo gazety...

Zebrano talerze, podano kawę. Jordan pokroiła bostoński placek z kremem, który przyniosła Anneliese.

– Nie wiem tylko, dlaczego nazywacie go plackiem – powiedziała z błyskiem w niebieskich oczach. – Przecież to zwyczajne ciasto. I nie spierajcie się z Austriaczką. W Austrii znamy się na ciastach.

– Bardzo dobrze mówi pani po angielsku – odważyła się zauważyć Jordan. O Ruth nie mogła powiedzieć tego samego, bo dziewczynka jeszcze się nie odezwała ani słowem.

– Uczyłam się go w szkole. A mój mąż prowadził w tym języku interesy, więc ćwiczyłam razem z nim.

Jordan miała ochotę spytać, jak Anneliese straciła męża, ale ojciec rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Już wcześniej wydawał wyraźne polecenia:

– Nie pytaj pani Weber o wojnę ani o męża. Bardzo jasno dała do zrozumienia, że to bolesne wspomnienia.

– Ale czy nie powinniśmy dowiedzieć się o niej jak najwięcej? – Jordan wprawdzie chciała, żeby ojciec miał w życiu kogoś wyjątkowego, lecz to musiała być odpowiednia osoba. – Co w tym złego?

– Ludzie nie mają obowiązku wywlekać dawnych tragedii ani brudów tylko dlatego, że tobie przyszła ochota o nich posłuchać – odpowiedział. – Nikt nie chce mówić o wojnie, którą przeżył, Jordan. Dlatego nie wtrącaj się w sprawy, które mogą kogoś zranić, i nie opowiadaj niestworzonych historii.

Zarumieniła się. „Niestworzone historie” to był jej zły nawyk sprzed dziesięciu lat. Gdy matka, którą ledwie teraz pamiętała, trafiła do szpitala, siedmioletnią Jordan wysłano do jakiejś poczciwej gamoniowatej ciotki, która oznajmiła: „Twoja mamusia wyjechała”, i odmówiła dalszych wyjaśnień. Dlatego Jordan codziennie wymyślała nową historijkę: „Mamusia wyjechała po mleko”. „Mamusia pojechała do fryzjera”. Mama wciąż nie wracała, a historie Jordan stawały się coraz dziwniejsze: „Pojechała na bal jak Kopciuszek”. „Pojechała do Kalifornii, żeby zostać gwiazdą filmową”. Gdy w końcu przyjechał

po nią zapłakany ojciec i oznajmił: „Twoja mama poszła do aniołków”, Jordan nie rozumiała, dlaczego jego wersja miałaby być prawdziwsza od tego, co sama wymyśliła, więc fantazjowała dalej. „Jordan i jej nie-stworzone historie – zażartowała kiedyś jej nauczycielka. – Dlaczego ona je w ogóle wymyśla?”

Jordan mogła odpowiedzieć: „Dlatego że nikt nie powiedział mi prawdy. Dlatego że od nikogo nie usłyszałam: »Mama jest chora i nie możesz się z nią zobaczyć, bobyś się zaraziła«, więc chcąc wypełnić lukę, wymyśliłam coś lepszego”.

Może właśnie z tego powodu tak ochoczo zajęła się swoim pierwszym kodakiem, gdy miała dziewięć lat. Na zdjęciach nie było luk, nie musiała ich wypełniać zmyślonymi historiami. Mając aparat, w ogóle nie musiała opowiadać historii. Mogła pokazywać prawdę.

Taro ciężko wbiegła do jadalni, wyrывая Jordan z zamyślenia. Mała Ruth po raz pierwszy się ożywiła.

– *Hund!*

– Ruth, mów po angielsku – upomniała ją matka, ale dziewczynka była już na podłodze i nieśmiało rozkładała ręce.

– *Hund* – szepnęła, głaszcząc Taro po uszach.

Jordan poczuła, jak mięknie jej serce.

– Zrobię zdjęcie – powiedziała, zsuwając się z krzesła, żeby pójść po leicę, która leżała na stoliku w przedpokoju.

Gdy wróciła i zaczęła pstrykać zdjęcia Ruth i Taro rozłożonej na jej kolanach, Anneliese odezwała się cichym głosem:

– Jeśli Ruth wydaje ci się zanadto cicha, jeśli nagle się wzdrygnie albo dziwnie zachowa, powinnaś wiedzieć, że w Altaussee, zanim wyjechaliśmy z Austrii, przeżyliśmy bardzo przykre zdarzenie nad jeziorem. Jakaś kobieta próbowała nas obrabować... To dlatego Ruth jest nieufna i dziwnie się zachowuje w obecności obcych osób. – Wyglądało na to, że Anneliese nie zamierza niczego więcej wyjaśniać. Jordan zrezygnowała jednak z zadawania pytań, zanim ojciec zdążył

jej rzucić następne spojrzenie. Miał przecież rację, gdy zauważył, że nie tylko Anneliese Weber nie lubi rozmawiać o wojnie – teraz nikt nie lubił o niej rozmawiać. Najpierw wszyscy świętowali, a teraz każdy chciał jedynie zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Jordan trudno było uwierzyć, że jeszcze rok temu o tej porze nieustannie czytało się doniesienia z wojny, a w oknach wisały gwiazdy, że uprawiano „ogródki zwycięstwa”, a chłopcy w szkole zastanawiali się, czy wojna dobiegnie końca, zanim osiągną odpowiedni wiek, żeby się zaciągnąć.

Anneliese uśmiechnęła się, patrząc na córkę.

– Piesek cię polubił, Ruth.

– Ona wabi się Taro – powiedziała Jordan, cały czas pstrykając zdjęcia: dziewczynka z piegopatym noskiem obok wilgotnego psiego nosa.

– Taro. – Anneliese wymówiła to słowo, jakby chciała poczuć jego smak. – Co to za imię?

– Nazwałam ją tak na cześć Gerdy Taro, pierwszej fotografki relacjonującej wydarzenia z frontu.

– Która straciła przy tym życie, co moim zdaniem kończy temat kobiet robiących zdjęcia w strefach wojennych – dorzucił ojciec Jordan.

– Wam też zrobię kilka zdjęć...

– Proszę, nie. – Anneliese odwróciła się, zawstydzona obiektywem. – Nie znoszę pozować.

– To tylko rodzinne fotki – zapewniła ją Jordan. Od oficjalnych ujęć wolała te nieupozowane, robione z bliska. Statywy i sprzęt oświetleniowy sprawiały, że ludzie niechętnie pozowali do zdjęć jeszcze bardziej się krępowali: wkładali maskę na twarz i wtedy zdjęcie nie było prawdziwe. Wolała dyskretnie czaić się w pobliżu, aż ludzie zapominali o jej obecności, aż zapominali o tej masce, odprężali się i znowu stawali się tym, kim byli naprawdę. Nie można było ukryć przed obiektywem swojego prawdziwego oblicza.

Anneliese wstała, żeby sprzątnąć ze stołu, pan domu pomógł jej z ciężkimi półmiskami, a Jordan poruszała się cicho i pstrykała dalej. Ruth na chwilę oderwała się od Taro, żeby odnieść maselniczkę. Wkrótce ojciec Jordan zaczął opowiadać o ich domku myśliwskim.

– Jest wspaniały, zbudował go mój ojciec. Jordan lubi fotografować jezioro. Ja chodzę na ryby, a czasami trochę strzelam.

Anneliese lekko odwróciła się od zlewu.

– Polujesz?

Ojciec Jordan trochę się zaniepokoił.

– Niektóre kobiety nie znoszą hałasu i bałaganu...

– Ja wręcz przeciwnie...

Jordan odłożyła aparat i poszła pozmywać naczynia. Anneliese zaproponowała, że będzie je wycierała do sucha, ale Jordan grzecznie odrzuciła jej ofertę, żeby Anneliese mogła podziwiać umiejętności, jakimi szczylił się w tym zakresie Daniel McBride. Bo przecież nie było kobiety, której nie oczarowałby mężczyzna potrafiący naleźycie wytrzeć porcelanę.

Niedługo potem Anneliese się pożegnała. Dan McBride niewinnie pocałował ją w policzek, lecz jego dłoń na moment pomknęła w stronę jej talii, wywołując uśmiech na twarzy Jordan. Potem Anneliese serdecznie uściśnęła dłoń Jordan, a Ruth podała jej paluszki oślinione czułym językiem Taro. Matka i córka zeszyły po stromych schodach z piaskowca ku chłodnemu wiosennemu wieczorowi. Ojciec Jordan zamknął drzwi. Zanim zdążył spytać, Jordan podeszła i pocałowała go w policzek.

– Polubiłam ją, tato. Naprawdę.



Potem jednak nie mogła zasnąć.

W wąskim wysokim domu z brunatnego piaskowca była mała piwnica z osobnym wejściem od ulicy. Żeby się do niej dostać, Jordan musiała wyjść z domu, a potem zejść po bardzo stromych schodach zewnętrznych do malutkich drzwi umieszczonych pod schodami, poniżej poziomu chodnika, ale zaciszność i brak dopływu światła sprawiały, że było to idealne miejsce do jej celów. Gdy miała czternaście lat i uczyła się wywoływać negatywy, tata pozwolił jej tam posprzątać i urządzić ciemnię z prawdziwego zdarzenia.

Jordan przystanąła na progu, wdychając znajome zapachy chemikaliów i sprzętu. Tu czuła się u siebie w znacznie większym stopniu niż w przytulnym pokoju z wąskim łóżkiem i biurkiem do odrabiania lekcji. Tu przestawała być Jordan McBride z torbą podręczników i włosami niedbale związanymi w kucyk i stawała się J. Bryde, zawodową fotografką. Tak miał brzmieć jej podpis, gdy zostanie profesjonalistką, podobnie jak jej idolki, które spoglądały na nią ze ściany w ciemni: niezważająca na wysokość Margaret Bourke-White klęcząca z aparatem obok olbrzymiej ozdoby w kształcie głowy orła na sześćdziesiątym pierwszym piętrze budynku Chryslera oraz Gerda Taro kucająca za hiszpańskim żołnierzem przy stercie gruzu i rozglądająca się za najlepszym ujęciem.

Zwykle Jordan poświęcała chwilę na przywitanie się ze swoimi bohaterkami, ale teraz coś nie dawało jej spokoju. Nie była pewna, co to jest, więc z szybkością nabytą podczas długiej praktyki zaczęła po prostu rozkładać tace i chemikalia.

Załadowała negatywy zdjęć, które zrobiła przy kolacji, i po kolei rzucała obrazy na papier. Przesuwając je przez wywoływacz w czerwonym świetle lampy ciemniowej, patrzyła, jak w płynie pojawiają

się obrazy przypominające duchy. Ruth bawiąca się z psem, Anneliese Weber odwrócona od aparatu, Anneliese od tyłu, zmywająca naczynia... Jordan obracała arkusze papieru w kąpielni przerwanej i utrwalaczem, delikatnie poruszała płynami w tacach, przenosiła odbitki do małego zlewu, by je wypłukać, a potem przypinała do sznurka, żeby wyschły. Jedna po drugiej zawiśla w powietrzu.

– Czego tu właściwie szukasz? – zastanawiała się na głos. Tu, na dole, nabrała zwyczaju mówienia do siebie. Żałowała, że nie ma drugiego fotografa, z którym mogłaby rozmawiać w ciemni, najlepiej jakiejś osmalonej węgierskiej korespondentki wojennej. Przeszła się wzdłuż wiszących odbitek. – Co zwróciło twoją uwagę, J. Bryde? – Nie po raz pierwszy dręczyło ją przecucie związane ze zdjęciem, jeszcze zanim je wywołała. Jakby aparat widział coś, czego ona nie dostrzegła, i jakby miało ją to gnębić aż do chwili, w której ujrzy to na własne oczy, a nie tylko przez obiektyw.

Oczywiście w połowie wypadków takie przecucie okazywało się zupełnie chybione.

– To – odpowiedziała sobie Jordan. Zdjęcie przedstawiało Anneliese Weber przy zlewie, lekko odwróconą w stronę obiektywu. Jordan zmrużyła oczy, ale obraz był za mały. Wywołała zdjęcie drugi raz, w powiększeniu. O północy. Nie przeszkadzała jej późna pora. Pracowała, dopóki powiększona odbitka nie zawiśla na sznurku.

Wtedy Jordan lekko się odsunęła, oparła dłonie na biodrach i zaczęła się przyglądać.

– Obiektywnie rzecz biorąc – powiedziała na głos – to jedno z najlepszych zdjęć, jakie kiedykolwiek zrobiłaś. – Pstryknięcie leki uchwyciło Anneliese stojącą w obramowaniu łukowatego okna w kuchni, dla odmiany lekko zwróconą w stronę aparatu, a nie w przeciwnym kierunku. Kontrast jej ciemnych włosów i bladej twarzy wyszedł pięknie. Ale...

– Subiektywnie rzecz biorąc – podjęła Jordan – wyszło to upiornie jak cholera. – Przeklinała nieczęsto, bo ojciec nie tolerował brzydkiego języka, ale jeśli kiedykolwiek była okazja, żeby powiedzieć „cholera”, to właśnie teraz.

Wszystko przez wyraz twarzy Austriaczki. Jordan siedziała na przeciw tej twarzy przez cały wieczór i nie widziała w niej niczego oprócz uprzejmego zainteresowania i stonowanej elegancji. Z tego zdjęcia wyłaniała się jednak inna kobieta. Miała na ustach uśmiech, ale bynajmniej nie uprzejmy. Mrużyła oczy, a jej dłonie zaciskały się na ścierze w jakimś odruchowym śmiercionośnym uścisku. Anneliese przez cały wieczór wyglądała na łagodną, kruchą damę, ale to ujęcie pokazywało coś innego. Pani Weber wyglądała na nim uroczo, niepokojąco i...

– Okrutnie. – To słowo wyskoczyło z ust Jordan, zanim uświadomiła sobie, że przeszło jej przez myśl. Pokręciła głową. Bo przecież każdy mógł wyjść kiepsko na zdjęciu: nieodpowiedni moment lub słabe oświetlenie zaskakiwały człowieka z przymrużonymi oczami i wyglądał przebiegle albo przyłapywały go z otwartymi ustami i wypadł głupkowato. Pstryknij zdjęcie Hedy Lamarr w nieodpowiedniej chwili, a zmieni się z Królowy Śnieżki w Złą Królową. Nie, obiektywy nie kłamały, ale z całą pewnością mogły wprowadzać w błąd.

Jordan sięgnęła w stronę spinaczy przytrzymujących odbitkę i znów napotkała to ostre jak brzytwa spojrzenie.

– Co wtedy mówiłaś?

Jej ojciec wspomniał o domku myśliwskim...

Polujesz?

Niektóre kobiety nie znoszą hałasu i bałaganu...

Ja wręcz przeciwnie...

Jordan znów pokręciła głową, odwracając się, żeby wyrzucić odbitkę. Tacie by się nie spodobała. Pomyślałby, że Jordan manipuluje

obrazem, chcąc zobaczyć coś, czego na nim nie ma. „Jordan i jej niestworzone historie”.

„Tylko że nie manipulowałam – pomyślała Jordan. – Ona naprawdę tak wyglądała”.

Zawahała się, po czym wsunęła zdjęcie do szuflady. Nawet jeśli wprowadzało w błąd, pozostawało jednym z najlepszych zdjęć, jakie kiedykolwiek zrobiła. Nie mogła się zmusić, żeby je wyrzucić.

2

IAN

*Kwiecień 1950
Kolonia, Niemcy*

Mniej więcej w połowie przypadków próbowali uciekać.

Wspólnik Iana Grahama przez chwilę za nim nadążał, ale choć Tony był ponad dziesięć lat młodszy od Iana, był też od niego niższy o pół głowy, i dłuższe nogi Iana szybciej przybliżyły go do ich zdobyczy: ubranego w szary garnitur mężczyzny w średnim wieku, który właśnie rozpaczliwie próbował ominąć jakąś niemiecką rodzinę wychodzącą z plaży i niosącą mokre ręczniki. Ian przyspieszył, poczuł, jak spada mu kapelusz. Nie zaprzętał sobie głowy wołaniem, żeby mężczyzna się zatrzymał. Oni nigdy się nie zatrzymywali. Biegliby na kraniec świata, byleby tylko uciec od tego, co zrobili.

Zaskoczona niemiecka rodzina zatrzymała się i patrzyła. Matka niosła pęk plażowych zabawek – łopatkę, czerwone wiaderko pełne mokrego piasku. Skręcając, Ian wyrwał jej wiaderko z ręki, krzyknął: „Przepraszam...”, zwołnił na tyle, żeby wymierzyć, po czym cisnął to wiaderko wprost pod nogi uciekającego mężczyzny. Ten zachwiał się, potknął, znów rzucił się do ucieczki, ale wtedy Tony wyprzedził Iana i powalił uciekającego chwytem za nogi. Ian niezgrabnie wyhamował, patrząc, jak tamci dwaj się turlają. Czuł, że jego klatka piersiowa unosi się i opada niczym miech. Podniósł wiaderko i oddał je zdumionej Niemce, kłaniając się z lekkim uśmiechem.

– Do usług, szanowna pani.

Odwracając się w stronę ofiary, zobaczył skulonego na ścieżce jęczącego mężczyznę oraz pochylonego nad nim Tony'ego.

– Lepiej trzymaj pięści przy sobie – ostrzegł współnika.

– Dosięgnął go ciężar jego grzechów, a nie moja pięść. – Tony Rodomowski wyprostował się. Miał dwadzieścia sześć lat, oliwkową cerę, ciemne, świdrujące oczy Europejczyka i niechlujny jankeski krok. Ian trafił na niego po wojnie: wtedy Tony był młodym sierżantem polsko-węgierskiego pochodzenia, wychowanym w Queens i noszącym najbardziej wygnieciony mundur, jaki Ian kiedykolwiek miał nieszczęście zobaczyć.

– Nieźle podkręciłeś to wiaderko – ciągnął wesoło Tony. – Tylko mi nie mów, że należałeś do Yankeesów.

– W dwudziestym dziewiątym grałem w zawodach kręglarskich przeciwko drużynie z Eton. – Ian podniósł sponiewieraną fedorę i włożył ją na ciemne włosy poprzytykane siwizną od czasu walk na plaży Omaha. – Zajmiesz się nim?

Tony spojrzał na mężczyznę na ziemi.

– Co pan na to? Będziemy kontynuowali rozmowę, którą prowadziliśmy, zanim wspomniałem o pewnym lesie w Estonii i rozmaitych działaniach, jakie pan tam wykonywał, a pan postanowił przeciwzić bieg na pięćdziesiąt metrów?

Mężczyzna rozplakał się, a Ian spojrzał na niebieskie połyskliwe jezioro, jak zwykle próbując stłumić poczucie rozczarowania. Człowiek zalewający się łzami był Sturmbannführerem ss w Einsatzgruppe D, który w 1941 roku rozkazał rozstrzelać w Estonii sto pięćdziesiąt osób. „Albo jeszcze więcej”, pomyślał Ian. Te wschodnie szwadrony śmierci zakopały w płytkich rowach setki tysięcy ludzi. W swoim wiedeńskim biurze miał jednak dokumenty zaświadczające o rozstrzelaniu tylko tych stu pięćdziesięciu: zeznania dwóch osób o drżących dłoniach i poszarzałych twarzach,

które zdołały stamtąd uciec. Sto pięćdziesiąt ofiar wystarczyło, żeby postawić tego potwora przed sądem i być może założyć mu pętlę na szyję.

Takie chwile powinny być wspaniałe, ale nigdy nie były. Na żywo potwory zawsze wyglądały bardzo zwyczajnie i żałośnie.

– Niczego takiego nie zrobiłem – wykrztusił mężczyzna przez łyżę. – Nie zrobiłem tych rzeczy, o których mówiliście.

Ian spojrział na niego.

– Robiłem tylko to, co inni. To, co mi kazali. To było legalne...

Ian przykląkł obok niego na kolano i jednym palcem uniósł jego brodę. Zaczekał, aż zaczerwienione oczy spojrzą w jego oczy.

– Nie interesuje mnie, co ci kazali – powiedział cicho. – Nie interesuje mnie, czy wtedy to było legalne. Nie interesują mnie twoje usprawiedliwienia. Jesteś służalczym, bezdusznym pacholkiem, który pociągał za spust, i dopilnuję, żebyś stanął przed sądem.

Mężczyzna tylko się wzdrygnął. Ian wstał i odwrócił się, dusząc w sobie świeżą, dziką wściekłość, zanim zdążyła z niego wytrysnąć i skłonić go do stłuczenia tego człowieka na miazgę. Te przeklęte słowa o „rozkazach” zawsze sprawiały, że miał ochotę podrzynać gardła. „Wszyscy to powtarzają, prawda?” W takich chwilach ogarniała go chęć chwycenia ich za szyję i patrzenia w ich oszołomione oczy, gdy będą umierali, bełkocząc te swoje usprawiedliwienia.

„Bezmyślne zwierzę osądzi rzecz słuszniej niż wy, rozumni ludzie!...”* Ian powoli wypuścił powietrze. „Ale nie ja”. Kontrola była tym, co odróżniało ludzi od zwierząt, a oni byli zwierzętami.

– Pilnuj go do czasu aresztowania – polecił oschle Tony’emu, a potem wrócił do hotelu, żeby zadzwonić.

– Bauer – wychrypiął głos w słuchawce.

* W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, w: *Tragedie i kroniki*, tłum. Z. Barańczak, Kraków 2013, s. 194.

Ian przysunął słuchawkę do prawego ucha – na lewe lekko nie-
dosłyszał od czasu niefortunnego nalotu w Hiszpanii w 1937 roku –
i przeszedł na niemiecki, choć wiedział, że mimo wielu lat spędzonych
za granicą wciąż pobrzmiwają w nim zimne brytyjskie dźwięki.

– Mamy go.

– Hm. Zaczę naciskać na prokuratora w Bonn, żeby wytoczył
temu sukinsynowi proces.

– Przyciśnij go porządnie, Fritz. Chcę, żeby ten sukinsyn stanął
przed najsurowszym sędzią.

Fritz Bauer coś mruknął. Ian wyobraził sobie przyjaciela siedzą-
cego za biurkiem w Brunzshwiku: jego łysiejącą głowę okalały kępy
siwych włosów i jak zwykle palił papierosa. W czasie wojny uciekł
z Niemiec do Danii, a potem do Szwecji, cudem unikając żółtej gwiaz-
dy przyszytej do rękawa i wywózki na wschód. Poznali się z Ianem
po pierwszym procesie w Norymberdze. Ian zwrócił się do Bauera
kilka lat temu, gdy zespoły dochodzeniowe oficjalnie zajmujące się
zbrodniami wojennymi rozwiązano z powodu braku funduszy i Ian
zaczął działać na własną rękę razem z Tonym.

– My będziemy tropili winnych – zaproponował przy szklaneczce
szkockiej i po wypaleniu połowy paczki papierosów – a ty dopilnujesz,
żeby ich osądzono.

– Nie zostaniemy przyjaciółmi – ostrzegł go Bauer z niewesołym
uśmiechem i miał rację. Człowiek, którego dziś złapali, mógł za po-
pełnione zbrodnie trafić do więzienia, dostać symboliczną karę albo
w ogóle uniknąć procesu. Od zakończenia wojny minęło pięć lat
i życie toczyło się dalej. Kogo obchodziło karanie winnych?

– Niech pan ich zostawi w spokoju – doradził niedawno Ianowi
pewien sędzia. – Naziści są pokonani, już po nich. Niech się pan
martwi Ruskimi, nie Niemcami.

– Pana martwi kolejna wojna – odrzekł spokojnie Ian. – Ktoś musi
posprzątać po ostatniej.

– Kto jest następny na twojej liście? – spytał teraz Bauer przez telefon.

„Die Jägerin”, pomyślał Ian. Łowczyni. Tylko że od lat nie było żadnych tropów, które wskazywałyby miejsce jej pobytu.

– Tropię strażnika z Sobiboru. Po powrocie do Wiednia zaktualizuję jego teczkę.

– Twoje centrum zdobywa sławę. Trzecie aresztowanie w tym roku...

– To same płotki.

Większe ryby – Eichmann, Mengele, Stangl – były daleko poza zasięgiem Iana, ale niewiele go to obchodziło. Nie mógł wywierać nacisku na obce rządy, nie umiał toczyć wielkich bojów o deportację, ale mógł szukać pomniejszych zbrodniarzy wojennych, którzy ukryli się w Europie. A było ich bardzo wielu: urzędników i strażników z obozów, funkcjonariuszy, którzy w czasie wojny odegrali jakąś rolę w wielkiej maszynie śmierci. Nie wszystkich można było osądzić w Norymberdze. Brakowało do tego ludzi, pieniędzy, a nawet zainteresowania działaniem na tak wielką skalę. Dlatego tylko niewielu zbrodniarzy trafiało przed sąd – w niektórych wypadkach decydowało to, ile osób zmieści się na ławie oskarżonych, co Ianowi wydawało się przerażająco ponurą ironią losu – a pozostałych po prostu odsyłano do domu. Po wojnie wracali do rodzin, odwieszali mundury, być może przyjmowali nowe nazwiska albo przeprowadzali się do innego miasta, jeśli byli na tyle ostrożni... ale w gruncie rzeczy po prostu wracali do Niemiec i udawali, że wojna nigdy się nie wydarzyła.

Czasami ludzie pytali Iana, dlaczego porzucił szorstki urok pracy korespondenta wojennego na rzecz upartej, mozolnej, długiej i męczącej pogoni za zbrodniarzami wojennymi. Wcześniej życie upływało mu na podążaniu za kolejną bitwą i kolejną historią, gdziekolwiek się działo, od dojścia Franco do władzy w Hiszpanii do upadku Linii Maginota i wszystkiego, co wydarzyło się później. Żeby zdążyć

w terminie, wystukiwał artykuł, kuląc się pod plandeką, która prawie w ogóle nie chroniła przed skwarnym pustynnym słońcem, grał w pokera w zbombardowanym hotelu, czekając na transport, siedział po kolana w morskiej wodzie i wymiotował, gdy statek desantowy z wymęczonymi żołnierzami zbliżał się do plaży... Przeżalenie i marazm, marazm i przeżalenie, wieczne oscylowanie między jednym a drugim w imię dołączenia do artykułu stopki ze swoim nazwiskiem.

Zamienił to wszystko na maleńkie biuro w Wiedniu, w którym piętrzyły się listy, na niekończące się wywiady z nieufnymi świadkami i zrozpaczonymi uchodźcami. Tu nie było mowy o eksponowaniu swojego nazwiska.

– Dlaczego? – spytał go Tony wkrótce po tym, jak zaczęli ze sobą pracować. – Dlaczego zrezygnowałeś z tamtego i zdecydowałeś się na to? – dodał, wskazując cztery ściany ich ponurego biura.

Ian krzywo się uśmiechnął.

– Bo tak naprawdę to jedno i to samo. Opowiadanie świata o kropieństwach, które się wydarzyły. Tylko na co się zdały te wszystkie słowa, które wystukiwałem w czasie wojny? Na nic.

– Ej, znałem w wojsku mnóstwo chłopaków, którzy żyli dla twoich artykułów. Mówili, że oprócz Erniego Pyle’a tylko ty pisałeś dla piechurów w terenie, a nie dla generałów w namiotach.

Ian wzruszył ramionami.

– Gdybym oberwał w czasie bombardowania Berlina, kiedy towarzyszyłem załodze lancastera, albo gdyby w mój statek trafiła torpeda, kiedy wracałem z Egiptu, znalazłoby się stu innych pismaków na moje miejsce. Ludzie chcą czytać o wojnie. Ale teraz nie ma wojny i nikt nie ma ochoty słuchać o zbrodniarzach wojennych, którzy pozostają na wolności. – Ian wskazał cztery ściany biura podobnym gestem jak przed chwilą Tony. – Teraz nie piszemy nagłówek, tylko je tworzymy, aresztowanie po aresztowaniu. Jeden mozolny ślad tuszu drukarskiego po drugim. I inaczej niż w wypadku artykułów, które

pisalem o wojnie, niewiele osób ustawia się w kolejce, żeby wykonać za nas tę robotę. Co my tu robimy? Osiągamy coś o wiele ważniejszego niż to wszystko, co zdołałem powiedzieć w artykułach. Bo nikt nie ma ochoty słuchać, co mamy do powiedzenia, a ktoś musi skłonić ludzi, żeby nas wysłuchali.

– Dlaczego więc nie napiszesz o tych, których złapaliśmy? – odparł Tony. – Może więcej ludzi zacznie słuchać, jeśli pod takim artykułem zobaczą twoje nazwisko.

– Już skończyłem z pisaniem zamiast robienia. – Ian nie napisał ani słowa od czasu procesów w Norymberdze, mimo że był dziennikarzem od dziewiętnastego roku życia, gdy jako tyczkowaty chłopak wybiegł z domu ojca, krzycząc, że zamierza zarabiać na życie cholernie dobrą pracą, zamiast spędzać dni, sącząc szkocką w klubie i marudząc, że kraj schodzi na psy. Po przeszło piętnastu latach przy maszynie do pisania, na której doskonalił swoje umiejętności pisarskie, żeby jego teksty mogły ciąć jak brzytwa, wątpił, by jeszcze kiedykolwiek miał podpisać artykuł swoim nazwiskiem.

Zamrugał, uświadamiając sobie, jak długo bujał w obłokach ze słuchawką przystawioną do ucha.

– Co mówiłeś, Fritz?

– Powiedziałem, że trzy aresztowania w ciągu roku to powód do świętowania – powtórzył Fritz Bauer. – Wypij coś mocniejszego i porządnie się wyśpij.

– Nie wyspałem się porządnie od czasu bombardowania Londynu – zażartował Ian, po czym się rozłączył.

Tej nocy śnił wyjątkowo okropne koszmary. Były w nich poskręcane spadochrony zaplątane w czarne drzewa. Obudził się ze stłumionym krzykiem w anonimowej ciemności pokoju hotelowego.

– Nie ma spadochronu – powiedział, a serce waliło mu tak bardzo, że prawie nie słyszał swojego głosu. – Nie ma spadochronu. Nie ma spadochronu. – Podeszedł nagi do okna, gwałtownym ruchem

otworzył okiennice, żeby spojrzeć na nocne niebo, i zapalił papierosa, który smakował jak kanister z benzyną. Wypuścił dym, oparł się o parapet, żeby popatrzeć na spowite ciemnością miasto. Miał trzydzieści osiem lat, pędził za wojną przez pół globu, a teraz owładnięty bezgranicznym wściekłym głodem tkwił przy oknie do rana i myślał o kobiecie stojącej na brzegu jeziora Rusalka.



– Musisz się z kimś przespać – doradził mu Tony.

Ian zignorował go, pisząc dla Bauera krótki raport na maszynie, którą nosił ze sobą, odkąd biegał po pustyni za żołnierzami Patto-na. Znów byli w Wiedniu, szarym i ponurym, ze spaloną skorupą opery narodowej, pozostającą świadkiem niedawnej wojny, ale i tak o wiele lepszym niż Kolonia, która po bombardowaniach przypominała gruzowisko i w zasadzie wciąż była placem budowy otoczonym łańcuchem jezior.

Tony zmiął arkusz papieru i rzucił nim w Iana.

– Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Nie. – Ian rzucił papier z powrotem. – Wywal to do kosza, nie mamy sekretarki, która po tobie posprząta. – W wiedeńskim Centrum Dokumentowania Spraw Uchodźców przy Mariahilferstrasse znajdowało się niewiele rzeczy. Grupy dochodzeniowe do spraw zbrodni wojennych, w których Ian pracował zaraz po wojnie, potrzebowały funkcjonariuszy, kierowców, specjalistów od przesłuchań, lingwistów, patologów, fotografów, maszynistek, prawników – były to zespoły złożone z co najmniej dwudziestu ludzi, porządnie urządzone i dysponujące dużymi budżetami. (Nie żeby kiedykolwiek to wszystko dostawały, ale przynajmniej się o to starały). W tym centrum pracowali tylko Tony, pełniący funkcję kierowcy, specjaliści od przesłuchań i lingwisty, oraz Ian, który wziął na siebie obowiązki

maszynistki, urzędnika i bardzo kiepskiego fotografa. Roczna renta Iana po dawno zmarłym ojcu ledwie starczała na czynsz i życie. „Dwaj faceci i dwa biurka, a wydaje nam się, że będziemy poruszać góry”, pomyślał cierpko Ian.

– Znowu błędzisz gdzieś myślami. Jak zawsze, kiedy kogoś aresztujemy. Zaliczasz błękitny okres jak jakiś przeklęty Picasso. – Tony pogrzebał w stercie gazet po niemiecku, francusku, angielsku oraz napisanych cyrylicą, której Ian nie potrafił rozszyfrować. – Zrób sobie wolny wieczór. Znam pewną rudą dziewczynę w Ottakringu, ma szałową współlokatorkę. Zaproś ją gdzieś, opowiedz kilka historyjek o tym, jak piłeś wódkę z Hemingwayem i Steinbeckiem po wyzwoleniu Paryża...

– To nie było takie malownicze, jak ci się wydaje.

– Co z tego? Ubarw to trochę! Użyj swojego uroku, szefie. Kobiety uwielbiają wysokich, ciemnowłosych facetów z dramatyczną przeszłością. A ty masz w sobie krzepkie metr osiemdziesiąt bohaterskich opowieści wojennych i tragicznych doświadczeń...

– Na litość boską...

– ...zapiętych w wykrochmaloną angielskość wyposażoną w tęskne spojrzenie z gatunku „i tak nie zdołasz zrozumieć spraw, które mnie dręczą”. To najlepsza kocimiętka dla pań, wierz mi...

– Skończyłeś? – Ian wyjął kartkę z maszyny i odchylił się na krzesło tak, że zaczęło balansować na dwóch nogach. – Przejrzyj pocztę, a potem zbierz informacje o asystencie Bormanna.

– Jak sobie chcesz, umrzyj jako mnich.

– Dlaczego ja z tobą wytrzymuję? – zastanowił się na głos Ian. – Z nieudolnym jankeskim kretynem...

– Ponury angielski drań – odgryzł się Tony, grzebiąc w szafie na dokumenty. Ian ukrył uśmiech, doskonale wiedząc, dlaczego wytrzymuje z Tonym. Snując się wzdłuż trzech wojennych frontów z maszyną do pisania i notesem, poznał tysiące takich Tonych: rozpaczliwie

młodych mężczyzn w pogniecionych mundurach, wyruszających prosto w paszczę dział. Amerykańskich chłopców stłoczonych na okrętach do przewozu wojsk, pozieleniałych od choroby morskiej, angielskich chłopców odlatujących hurricanami i mających jedną szansę na cztery, że wrócą... Po jakimś czasie Ian nie potrafił im się przyglądać, bo wiedział lepiej niż oni sami, jakie jest prawdopodobieństwo, że wyjdą z tego żywi. Zaraz po wojnie poznał Tony'ego pełniącego funkcję tłumacza w orszaku jakiegoś amerykańskiego generała, który wyraźnie chciał go postawić przed sądem wojskowym i rozstrzelać za niesubordynację oraz niechlujstwo. Teraz Ian rozumiał to uczucie, bo sierżant A. Rodomowski nie pracował już dla armii Stanów Zjednoczonych, lecz dla niego. Z drugiej strony był pierwszym młodym żołnierzem, z którym Ian zdołał się zaprzyjaźnić. Był aroganckim kawalerzem i prawdziwym utrapieniem, lecz ściskając mu dłoń po raz pierwszy, Ian pomyślał: „Ten nie zginie”.

„Chyba że sam go zabiję, kiedy znów zacznie mi działać na nerwy”, dorzucił teraz w myślach. Było to bardzo możliwe.

Skończył pisać raport dla Bauera, wstał i przeciągnął się.

– Włóż zatyczki do uszu – poradził Tony'emu, sięgając po futerał ze skrzypcami.

– Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie zostaniesz skrzypkiem koncertowym? – Tony przeglądał stertę korespondencji, która uzbierała się pod ich nieobecność.

– Gram kiepsko, ale za to nie przesadzam z uczuciowością. – Ian przysunął skrzypce do podbródka i zaczął grać fragment utworu Brahmsa. Dzięki tej czynności lepiej mu się myślało i miał czym zająć ręce, gdy jego mózg analizował pytania nasuwające się przy każdej nowej pogoni. „Kim jesteś, co zrobiłeś i dokąd byś pojechał, żeby od tego uciec?” Kiedy przeciągał ostatni dźwięk, Tony zagwizdał.

– Szefie – zawołał przez ramię. – Mam wieści.

Ian opuścił smyczek.

– Nowy trop?

– Tak. – W oczach Tony'ego pojawił się zwycięski błysk. – *Die Jägerin*.

W brzuchu Iana otworzyła się zapadnia, dając początek długiemu spadaniu w bezdenną dziurę wściekłości. Odłożył skrzypce do fute-
rału, wykonując powolne, kontrolowane ruchy.

– Nie dałem ci tej teczki.

– To ta w głębi szuflady, którą przeglądasz, kiedy myślisz, że nie widzę – odrzekł Tony. – Wierz mi, znam jej zawartość.

– W takim razie wiesz, że trop zwietrzył. W listopadzie czterdzie-
stego czwartego była w Poznaniu, ale na tym nasze informacje się
kończą. – Ian czuł, jak podekscytowanie zaczyna się w nim ścierać
z ostrożnością. – No więc co znalazłeś?

Tony szeroko się uśmiechnął.

– Świadka, który widział ją później niż w listopadzie czterdziestego
czwartego. Po wojnie.

– Co? – Ian wielokrotnie przeglądał akta kobiety, która była
jego osobistą obsesją. Już prawie się poddał. – Kto to? Ktoś z okolic
Poznania czy z personelu Franka? – Ian pochwycił trop *die Jägerin*
podczas pierwszego procesu w Norymberdze, słysząc, jak świadek
zeznaje przeciwko Hansowi Frankowi, gubernatorowi generalne-
mu okupowanej przez nazistów Polski, którego później (jako jeden
z niewielu dziennikarzy wpuszczonych na salę egzekucji) widział
dyndającego na sznurze za zbrodnie wojenne. Opowiadając o Ży-
dach, których Frank wysyłał na wschód, urzędnik złożył zeznania
w sprawie pewnej wizyty w Poznaniu. Jeden z wysoko postawionych
oficerów ss wydał na cześć Franka przyjęcie nad jeziorem Rusałka
w dużym domu koloru ochry...

W tym momencie Ian miał już bardzo uzasadnione powody, by
szukać kobiety, która kiedyś mieszkała w tym domu. A urzędnik

składający zeznania był gościem na przyjęciu, na którym funkcję gospodyni pełniła młoda kochanka oficera.

– Kogo znalazłeś? – eksplodował Ian, czując, że pod wpływem nagłej nadziei zaschło mu w ustach. – Kogoś, kto ją pamięta? Nazwisko, zdjęcie... – Był to najbardziej frustrujący ślepy zaułek w tej sprawie: urzędnik zeznający w Norymberdze spotkał tę kobietę tylko raz i w dodatku przez większość przyjęcia był pijany. Nie pamiętał, jak miała na imię, potrafił jedynie opisać młodą, ciemnowłosą kobietę o niebieskich oczach. Trudno kogokolwiek namierzyć, znając jedynie jego przydomek oraz kolor włosów i oczu. – Co znalazłeś?

– Do diabła, przestań mi przerywać, a wszystko ci powiem. – Tony postukał w teczkę. – Kochanek *die Jägerin* uciekł do Altaussee w czterdziestym piątym. Nic nie wskazywało na to, żeby zabrał ze sobą kochankę z Poznania, ale chyba jednak tak zrobił. Udało mi się znaleźć w Altaussee pewną dziewczynę. Jej siostra pracowała kilka budynków od domu, w którym w maju czterdziestego piątego kochanek naszej Łowczyni zadekował się razem z Eichmannami i resztą ferajny. Nie widziałem się jeszcze z tą siostrą, ale najwyraźniej pamięta kobietę wyglądającą całkiem jak *die Jägerin*.

– To wszystko? – Fala nadziei Iana ustąpiła, gdy przypomniał sobie ładne uzdrowskowie miasteczko nad niebieskozielonym jeziorem u stóp Alp, powojenną kryjówkę całej masy wysoko postawionych nazistów. W maju czterdziestego piątego roku roiło się tam od Amerykanów przeprowadzających aresztowania. Część uciekinierów pozwoliła się zakuć w kajdanki, innym udało się zbiec. Kochanek *die Jägerin* zginął pod gradem kul, bo nie chciał, żeby wzięli go żywego, a po kochance nie został nawet ślad. – Już przeczesałem Altaussee w poszukiwaniu tropów. Gdy tylko się dowiedziałem, że zginął tam ten jej esesman, pojechałem się rozejrzeć. Gdyby też tam była, znalazłbym jakiś trop.

– Bo pewnie zjawiłeś się tam jak jakiś wściekły pies gończy z hiszpańskiej inkwizycji i wszyscy zamilkli z przerażenia. Subtelność nie jest twoją mocną stroną. Wpadasz jak tornado, które studiowało w Eton.

– Harrow.

– Na jedno wychodzi. – Tony pogmerał w kieszeni, szukając papierosów. – Ja działałem delikatniej. Pamiętasz, jak w grudniu zeszłego roku jeździliśmy po Austrii, szukając tego strażnika z Belsen, który, jak się okazało, uciekł do Argentyny? W weekendy robiłem wypadki do Altaussee i rozpytywałem. Jestem w tym niezły.

Rzeczywiście był. Tony umiał rozmawiać z każdym, i to zazwyczaj w jego ojczystym języku. Właśnie dlatego dobrze sobie radził w tej robocie, tak często uzależnionej od informacji uzyskiwanych od podejrzliwych, ostrożnych ludzi.

– Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu w czasie wolnym od pracy? – spytał Ian. – To dawna sprawa...

– Dlatego, że tobie na niej zależy. To twój biały wieloryb. Ci wszyscy dranie... – Tony machnął ręką w stronę szafy wypełnionej dokumentami na temat zbrodniarzy wojennych. – Chcesz przyskrzynieć ich wszystkich, ale tak naprawdę pragniesz dopaść ją.

Nie pomylił się. Ian poczuł, jak jego palce zaciskają się na krawędzi biurka.

– Biały wieloryb – zdołał powiedzieć cierpkim tonem. – Nie mów, że czytałeś Melville'a.

– Jasne, że nie. Nikt nie czyta *Moby Dicka*, omawiają go tylko nadgorliwi nauczyciele. Dzień po ataku na Pearl Harbor poszedłem się zaciągnąć i dzięki temu uniknąłem konieczności czytania tej książki. – Tony wytrząsnął papierosa z paczki i utkwiał czarne oczy w Ianie. – Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego właśnie *die Jägerin*.

– Czytałeś jej teczkę – odpowiedział wymijająco.

– Och, paskudny przypadek, nie da się zaprzeczyć. Tych sześcioro zbiegów, których najpierw nakarmiła, a potem zabiła...

– Dzieci – sprostował cicho Ian. – Sześcioro polskich dzieci w wieku od czterech do dziewięciu lat.

Tony znieruchomiał, zanim zdążył zapalić papierosa. Był wyraźnie wstrząśnięty.

– W wycinku z gazety przeczytałem tylko o zbiegach.

– Redaktor naczelny uznał, że to zbyt makabryczny szczegół, by pisać o nim w artykule. Ale tak, chodziło o dzieci, Tony. – To był jeden z trudniejszych artykułów, do których napisania się zmusił. – Urzędnik zeznający w procesie Franka wspomniał, że na przyjęciu, na którym poznał *die Jägerin*, ktoś opowiedział o tym, jak pozbyła się sześciorga dzieci, które prawdopodobnie uciekły z transportu na wschód. Zabawna anegdotka przy przystawkach. Wzniesli za nią toast szampanem i nazwali ją Łowczynią.

– Niech to szlag – powiedział Tony ściszone głosem.

Ian pokiwał głową, myśląc nie tylko o sześciorgu nieznanym dzieciach, które padły jej ofiarą, ale także o dwóch innych osobach. O młodej kruchej kobiecie leżącej na szpitalnym łóżku, zamienionej w udręczoną istotę z wyglądającymi oczami. Oraz o pewnym chłopcu, zaledwie siedemnastoletnim, który kiedyś oznajmił z przejęciem: „Powiedziałem im, że mam dwadzieścia jeden, wyruszam w przyszłym tygodniu!”. Kobieta i chłopiec: jedno z nich wyjechało, drugie już nie żyło. „To twoja wina – powiedział w myślach do bezmiennej Łowczyni, która wypełniała jego bezsenne noce. – Twoja wina, ty nazistowska suko”.

Tony nie wiedział ani o tej dziewczynie, ani o młodym żołnierzu. Nawet teraz, po latach, Ianowi trudno było o tym mówić. Próbował coś wyjaśnić, ale Tony już zapisywał adres, przechodząc od rozmowy do działania. Na razie zatem Ian postanowił odpuścić, jego palce zwolniły śmiertelny uścisk na krawędzi biurka.

– To adres tej dziewczyny z Altaussee, tej, której siostra mogła widzieć *die Jägerin* – mówił Tony. – Moim zdaniem warto tam pojechać i porozmawiać z nią osobiście.

Ian pokiwał głową. Należało sprawdzić każdy trop.

– Kiedy zdobyłeś jej nazwisko?

– Tydzień temu.

– Tydzień temu, do cholery?

– Musimy jeszcze dokończyć sprawę z Kolonii. Poza tym czekałem na potwierdzenie. Chciałem ci przekazać więcej dobrych wieści i teraz mogę to zrobić. – Tony postukał w list leżący na stercie korespondencji, rozrzucając przy okazji popiół z papierosa. – Przyszędł, kiedy byliśmy w Kolonii.

Ian przejrzał list, nie rozpoznając charakteru pisma.

– Kim jest ta kobieta i po co przyjeżdża do Wiednia... – Dotarł do podpisu na dole i świat wokół niego nagle znieruchomiał.

– Nasz jedyny świadek, który spotkał się z *die Jägerin* twarzą w twarz i przeżył – powiedział Tony. – To ta Polka... Wyjąłem z teczki jej zeznania i dane kontaktowe.

– Wyemigrowała do Anglii. Dlaczego nie...

– Był tam numer telefonu. Zostawiłem wiadomość. I teraz ta kobieta przyjeżdża do Wiednia.

– Naprawdę nie powinieneś był kontaktować się z Niną – powiedział cicho Ian.

– Dlaczego? Oprócz potencjalnego tropu w Altaussee to jedyny świadek, jakiego mamy. A tak na marginesie, gdzie ją znalazłeś?

– W Poznaniu po wycofaniu się Niemców w czterdziestym piątym. Kiedy składała zeznania, była w szpitalu. Podała mi wszystkie szczegóły, jakie zdołała zapamiętać. – Ian wyraźnie pamiętał drobną dziewczynę na szpitalnym łóżku. Jej chude jak patyki kończyny wystawały z koszuli pożyczonej od Polskiego Czerwonego Krzyża. – Nie powinieneś jej teraz ciągnąć przez pół Europy.

– To był jej pomysł. Ja chciałem tylko porozmawiać przez telefon, sprawdzić, czy uda mi się zdobyć więcej informacji o naszym obiekcie. Ale skoro sama chciała tu przyjechać, powinniśmy to wykorzystać.

– Tak się składa, że ona jest...

– Kim?

Ian zamilkł. Jego zaskoczenie i niepokój przygasły, ustępując miejsca niespodziewanemu przeblyskowi szelmostwa. Bardzo rzadko widywał swojego współnika w stanie kompletnej konsternacji. „Skoro serwujesz mi taką niespodziankę – pomyślał – zasługujesz na to, żebym też ci jakąś zaserwował”. Z własnej inicjatywy nigdy nie ciągnąłby złamanego kwiatu, jakim była Nina Markowa, przez pół kontynentu, ale Nina była już w drodze i nie dało się zaprzeczyć, że jej obecność mogła się okazać pożyteczna z kilku powodów... między innymi dlatego, że dzięki niej miał szansę utrzyć nosa Tony’emu, co jak Ian był skłonny przyznać, sprawiłoby mu wielką przyjemność. Zwłaszcza że jego współnik zaczął węszyć, robiąc to za plecami Iana. A szczególnie dlatego, że zaczął węszyć w tej sprawie.

– Kim ona jest? – spytał Tony.

– Nikim – odrzekł Ian. Pomijając utarcie nosa Tony’emu, spotkanie z Niną mogło przynieść inne dobre skutki. Mieli przecież do omówienia kwestie niemające nic wspólnego ze sprawą. – Po prostu kiedy przyjedzie, obchodź się z nią ostrożnie – dodał, mówiąc zupełnie szczerze. – Wojna ciężko ją doświadczyła.

– Będę łagodny jak baranek.



Minęły cztery dni i napłynęła fala zeznań uchodźców, które trzeba było uporządkować. Ian zupełnie zapomniał o mającym przyjechać gościu i przypomniał mu o nim dopiero nieludzki wrzask na korytarzu.

Tony oderwał wzrok od zeznań tłumaczonych z jidysz.

– Znowu ktoś się naraził właścicielce budynku? – spytał, gdy Ian podszedł do drzwi.

Widok na korytarz przysłoniła imponująca postać Frau Hummel w kwiecistym fartuchu, pokazującej błotniste ślady butów na podłodze. Ianowi mignęła schowana za nią znacznie mniejsza sylwetka kobiety, którą Frau Hummel po chwili chwyciła za ramię. Jej grzmiący głos przeszedł w pisk, gdy drobniejsza kobieta wyszarpnęła z buta brzytwę i machnęła nią ostrzegawczo. Twarz przybyszki zasłaniała gęstwina jasnych włosów. W zasadzie Ian widział jedynie brzytwę w przerażająco zdeterminowanej pięści.

– Drogie panie, proszę o spokój! – Tony wytoczył się na korytarz.

– Ta szwabka zagroziła, że wezwie policję... – warknęła przybyszka.

– To wielkie nieporozumienie – oznajmił pogodnie Tony, odsuwając Frau Hummel i pokazując nieznamojem, by poszła do Iana. – Zechce pani podzielić się swoimi obawami z moim współnikiem, Fräulein...

– Tędy. – Ian pokierował blondynkę w stronę swoich drzwi, nie spuszczając oka z brzytwy. Rzadko się zdarzało, by ktoś zjawiał się w jego biurze w tak dramatycznych okolicznościach. – Ma pani jakąś sprawę do Centrum Dokumentowania Spraw Uchodźców?

Kobieta złożyła śmiertelnie ostrą brzytwę i wsunęła ją z powrotem do buta.

– Przyjechałam godzinę przed czasem – oznajmiła niestaraną angielszczyzną, gdy Ian zamknął drzwi. Miała dziwny akcent, coś między angielskim a czymś oddalonym bardziej na wschód niż Wiedeń. Dopiero gdy się wyprostowała i odsunęła poplątane włosy od błękitnych oczu, Ianowi mocniej zabiło serce. – Nadal mnie nie poznajesz? – spytała.

„Jasna cholera – pomyślał oniemiały Ian. – Ale się zmieniła”.

Pięć lat temu leżała zagłodzona prawie na śmierć na łóżku Czerwonego Krzyża i składała się tylko z kruchego milczenia i niebieskich

oczu. Teraz wydawała się sprawna i twarda w poprzecieranych spodniach i butach do kolan, kołysząc w dłoni sfatygowaną czapkę z foczej skóry. Włosy, które kiedyś były matowe i brązowe, miały teraz ciemne odrosty, ale zostały rozjaśnione, a w oczach kobiety czaił się wesoły szelmowski błysk.

– Witaj, Nino – wykrztusił Ian zdrętwiałymi ustami.

Tony wrócił do środka, trzaskając drzwiami.

– *Gnädige Frau* została należycie udobruchana. – Z pewnym uznaniem spojrzął na Ninę. – Kim jest nasz gość?

Wydała się poirytowana.

– Przecież wysłałam list. Nie dotarł?

„Jego angielski się poprawił”, pomyślał Ian. Pięć lat temu z trudem prowadziła rozmowę w tym języku. Prawie w ogóle nie znała angielskiego, a on prawie w ogóle nie znał polskiego. Od tamtej pory komunikowali się wyłącznie za pośrednictwem telegramów. Wciąż waliło mu serce. Czy to naprawdę była Nina...?

– Więc przyjechała pani... – Tony wydawał się zaskoczony. Bez wątplenia pamiętał przedstawiony przez Iana opis kobiety wymagającej delikatnego traktowania. – Jest pani zupełnie inna, niż się spodziewałem, panno Markowa.

– To nie jest panna Markowa. – Ian przecesał włosy palcami, żałując, że nie wyjaśnił wszystkiego cztery dni wcześniej i że uległ impulsowi nakazującemu mu utrzyć nosa swojemu współnikowi. Bo jeśli komukolwiek utarto tu nosa, to właśnie jemu, Ianowi. „Jasna cholera”. – W teczce wciąż figuruje jej panięńskie nazwisko. Tony, pozwól, że ci przedstawię Ninę Graham. – Kobieta ze szpitalnego łóżka, kobieta, która spotkała się z *die Jägerin* twarzą w twarz i przeżyła, teraz po raz pierwszy od pięciu lat znajdowała się, z brzytwą w bucie i chłodnym uśmiechem na ustach, w tym samym pomieszczeniu co on. – To moja żona.

3

NINA

*Przed wojną
Jezioro Bajkał na Syberii*

Zrodziła się z jeziornej wody i z szaleństwa.

Tego, że jezioro będzie miała we krwi, można było się spodziewać. Miał je każdy, kto urodził się nad Bajkałem, olbrzymim jeziorem tektonicznym na wschodnim krańcu świata. Każde dziecko, które przyszło na świat w pobliżu tego ogromnego jeziora rozpościerającego się w tajdze niczym drugie niebo, znało żelazisty posmak jeziornej wody, zanim poznało smak mleka matki. Ale krew Niny Borysowny Markowej była naznaczona szaleństwem jak lód pokrywający jezioro zimą głębokim żłobkowaniem. Dlatego że wszyscy Markowowie byli szaleni – każdy o tym wiedział – wszyscy co do jednego chodzili dumnym krokiem, mieli dzikość w oczach i byli agresywni jak rosomaki.

– Płodzę szaleńców – mówił ojciec Niny, gdy upił się w sztok wódką, którą pędził w szopie myśliwskiej za domem. – Wszyscy moi synowie to przestępcy, a córki to dziwki... – I wymachiwał ogromnymi brudnymi pięściami, przed którymi jego dzieci uciekały z sykiem jak małe szponiaste zwierzęta. Nina mogła oberwać podwójnie, bo jako jedyna z miotu wysokich ciemnookich siostr i jeszcze wyższych ciemnookich braci była drobna i niebieskooka. Gdy ojciec na nią patrzył, mrużył powieki.

– Twoja matka była rusalką – warczał, przycupnąwszy w koszuli zasłoniętej do połowy skołtunioną czarną brodą.

– Co to jest rusalka, tato? – spytała wreszcie Nina, mając dziesięć lat.

– To wiedźma z jeziora, która wychodzi na brzeg, ciągnąc za sobą długie zielone włosy i wabiąc mężczyzn na śmierć – odparł ojciec, wymierzając cios, przed którym Nina uchyliła się zwinnie i szybko. To była pierwsza umiejętność, jaką zdobywało dziecko Markowa: robienie uników. Potem uczyło się kraść i przepychać po swoją porcję wodnistego barszczu i twardego chleba, dlatego że nikt się tu z nikim nie dzielił, nigdy. Potem uczyło się bić – podczas gdy inni chłopcy z wioski uczyli się łapać ryby i polować na foki, a dziewczyny uczyły się gotować i naprawiać sieci rybackie, synowie Markowa uczyli się bić i pić, a jego córki uczyły się bić i pieprzyć. Potem uczyli się ostatniej rzeczy, czyli odchodzenia z domu.

– Znajdź mężczyznę, który cię stąd zabierze – poradziła Ninie jej druga najstarsza siostra. Olga właśnie się pakowała: miała piętnaście lat, jej ciało już się zaokrągliło, a oczy były zwrócone na zachód w stronę Irkucka, najbliższego miasta, oddalonego o wiele godzin od syberyjskiego horyzontu. Nina nie potrafiła sobie wyobrazić takiego miasta. Dotąd widziała jedynie zbiorowisko lichych chat, które właściwie nie zasługiwało na miano wsi, srebrnawe i cuchnące rybimi łuskami łodzie rybackie oraz bezkresną taflę jeziora. – Znajdź sobie mężczyznę – powtórzyła Olga – bo tylko w ten sposób zdołasz się stąd wydostać.

– Znajdę inny sposób – powiedziała Nina. Olga na pożegnanie złośliwie ją drapnęła i już jej nie było. Nikt z rodzeństwa Niny nie wracał do rodzinnego domu. Każdy myślał tylko o sobie i Nina za nikim nie tęskniła, dopóki nie odszedł ostatni z jej braci i nie została sama z ojcem.

– Cholerna rusalka. – Rzucił Niną po chacie, a ona syczała i drapała ogromną dłoń zaplątaną w jej rozczochrane włosy. – Powinienem

oddać cię jezioru. – Niezbyt się go bała. Bo czy wszyscy ojcowie nie byli tacy jak on? Majaczył w jej świecie olbrzymi niczym jezioro. W pewnym sensie był jeziorem. Czasami mieszkańcy wioski nazywali jezioro Starcem. Jeden Starzec rozpościerał się niebiesko i chlupał tuż za progiem, a drugi rzucał nią po chacie.

Nie zawsze był takim dzikusiem. W łagodniejszym nastroju śpiewał stare piosenki o Dziadku Mrozie i Babie Jadze, ostrząc na pasku brzytwę, która zawsze kołysała się przy jego pasku. Gdy był w lepszym humorze, pokazywał Ninie, jak garbuje się skóry fok, na które polował ze starą strzelbą wiszącą nad drzwiami, zabierał ją ze sobą na polowania i uczył, jak poruszać się po śniegu, żeby nie wydawać żadnego dźwięku. Wtedy nie nazywał ją rusałką. Ciągnął ją za ucho i nazywał swoją małą łowczynią.

– Jeśli mam cię czegokolwiek nauczyć, Nino Borysowna – szeptał – niech to będzie umiejętność poruszania się w świecie bez robienia hałasu. Jeżeli nie usłyszysz, jak się zbliżasz, nigdy cię nie dopadną. Mnie jeszcze nie dopadli.

– Kto taki, tato?

– Ludzie Stalina – wyrzucił z siebie. – Ci, którzy stawiają człowieka pod ścianą i rozstrzeliwują za mówienie prawdy o tym, że towarzysz Stalin to kłamca, morderca i świnia srająca na zwykłego człowieka. Zabijają za mówienie czegoś takiego, ale tylko wtedy, gdy uda im się cię znaleźć. Dlatego poruszaj się cicho, a nigdy cię nie wytropią. To ty wytropisz ich.

Mógł tak mówić godzinami, dopóki Nina nie zasnęła. „Towarzysz Stalin to gruzińska świnia, towarzysz Stalin to zasrany morderca”.

– Powiedz mu, żeby przestał tak mówić – prosiły Ninę stare kobiety, które handlowały ubraniami. – Nie jesteśmy aż tak daleko na krańcu świata, żeby nie mogły nas usłyszeć niepowołane uszy. Ten twój ojciec zarobi kulkę, a na dodatek załatwi ją swoim sąsiadom.

– Mówi, że car też był zasranym mordercą – zauważyła Nina. – Tak jak Żydzi, tutejsi mieszkańcy i wszyscy polujący na foki myśliwi, którzy zostawiają truchła na naszej części brzegu. Dla niego wszyscy i wszystko to takie samo gówno.

– Ale mówienie tego o towarzyszu Stalinie to co innego!

Nina wzruszyła ramionami. Niczego się nie bała. To była kolejna klątwa wisząca nad rodziną Markowów: żadne z nich nie bało się śmierci, ciemności ani nawet legendy o Babie Jadze chowającej się w drzewach.

– To Baba Jaga boi się m n i e – powiedziała Nina jakiemuś dziecku z wioski, bijąc się z nim zaciekle o popsutą lalkę. – Lepiej też się mnie bój. – Zdobyła lalkę, którą matka tego drugiego dziecka rzuciła w jej stronę, żegnając się przy tym po staremu, tak jak żegnali się tu ludzie, zanim się dowiedzieli, że religia to opium dla mas.

– Niczego się nie boisz, co? – powiedział ojciec Niny, gdy się o tym dowiedział. – To dlatego wszystkie moje dzieci umrą przede mną. Jak się niczego nie boisz, to głupiejesz. Lepiej bać się jednej rzeczy, Nino Borysowna. Włóż w nią całe swoje przerażenie, a staniesz się wystarczająco ostrożna.

Nina ze zdumieniem spozjrzała na ojca. Był taki ogromny, dziki jak wilk. Nie mogła sobie wyobrazić, że czegokolwiek się boi.

– A ty czego się boisz, tato?

Przysunął usta do jej ucha.

– Towarzysza Stalina. Po co inaczej mieszkałbym nad jeziorem wielkości morza, tak daleko na wschodzie, że gdybyście pójść jeszcze dalej, spadłoby się z krawędzi świata?

– A co jest po drugiej stronie, najdalej, gdzie można pójść, zanim spadnie się z krawędzi na zachodzie? – Słońce szło na zachód, żeby umrzeć, i większość świata była na zachód od Bajkału, ale Nina wiedziała na ten temat niewiele więcej. W wiosce był tylko jeden nauczyciel, prawie tak ciemny jak dzieci, które uczył. – Co jest na najdalszym zachodzie?

– Ameryka? – Ojciec Niny wzruszył ramionami. – Bezbożne diabły. Jeszcze gorsze niż Stalin. Trzymaj się z daleka od Amerykanów.

– Nigdy mnie nie złapią. – Zastukała stopami w podłogę. – Mam ciche nogi.

Wzniósł za to toast wódką i jednym ze swoich rzadkich, ostrych jak nóż uśmiechów. To był dobry dzień. Po dobrych dniach zawsze następowały złe, ale Nina nigdy się tym nie przejmowała, dlatego że była szybka, cicha, niczego się nie bała i zawsze potrafiła mu się wywinąć.

Aż do dnia jej szesnastych urodzin, kiedy próbował utopić ją w jeziorze.

Nina stała nad brzegiem w czystym, zimnym świetle zmierzchu. Jezioro zamarzło, tworząc taflę ciemnozielonego szkła tak czystą, że daleko w dole można było zobaczyć dno. Gdy lód na powierzchni ogrzewał się w ciągu dnia, tworzyły się w nim szczeliny, trzaskając i dudniąc, jakby jeziorne rusalki toczyły wojnę w głębinach. Blisko brzegu spiętrzony turkusowy lód wpychany na ląd przez zimowy wiatr tworzył bloki wyższe od Niny. Kilka lat temu te zamarznęte fale wpełzły tak daleko na ląd, że naniesiony przez wiatr niebieski lód połknął całą stację kolejową w Tanchoju. Nina stała w swoim lichym zimowym płaszczu i trzymając ręce w kieszeniach, zastanawiała się, czy za rok wciąż tu będzie i zobaczy, jak zamarza jezioro. Miała szesnaście lat. Jej siostry opuściły dom, zanim osiągnęły ten wiek, większość z wystającymi brzuchami. „Wszystkie córki Markowa są takie same – szeptano we wsi. – Wszystkie źle kończą”.

– Nieważne, czy źle skończą – mówiła głośno Nina. – Po prostu nie chcę mieć wielkiego brzucha. – Wyglądało jednak na to, że wszystko, co robią córki jej ojca, sprowadza się do dorastania, rozmnażania się i ucieczki z domu. Nina nerwowo kopała w ziemię na brzegu jeziora, gdy z chaty wytoczył się jej ojciec z nagim torsem. Nie zwracał uwagi na zimno. Nieporadnie wytatuowane smoki i węże wiły się wokół

jego ramion, jego ciało parowało. Znowu był w ciągu, złopał wódkę i całymi dniami mamrotał szalone słowa, lecz teraz znów wydawał się przytomny. Spojrzał na nią, widząc ją pierwszy raz tego dnia, i w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

– Starzec chce cię z powrotem – powiedział jak gdyby nigdy nic.

A potem rzucił się na nią jak wilk i mimo że Nina szybko pobiegła w stronę drzew, już po trzech krokach olbrzymia dłoń chwyciła ją za włosy i zwała z nóg. Dziewczyna tak mocno uderzyła w ziemię, że świat ześlizgnął się na boki, a gdy znów się pojawił, leżała na plecach i szorowała butami ziemię, podczas gdy ojciec włókł ją na gładkie jak szkło jezioro.

O tej porze roku lód był grubszy niż człowiek wysoki, ale zdarzały się szczeliny. Wiejski nauczyciel, mniej niedouczony w sprawach jeziora niż w większości spraw, które objaśniał dzieciom, wspominał coś o cieplejszych kanałach wodnych wijących się ku górze z głębiej położonej szczeliny i mogących tworzyć dziury w powierzchni lodu. Ojciec zaciągnął ją właśnie do jednej z takich dziur, opadł na kolana, przebił cienką warstwę lodu i wepchnął głowę córki do przeraźliwie zimnej wody.

Wtedy Ninę uderzył strach, obcy i kłujący jak świeży mróz. Nie czuła go, nawet gdy ojciec ciągnął ją za włosy po jeziorze, to wszystko działało się za szybko. Gdy jednak ciemna woda ją połknęła, przerażenie zeszło na nią jak lawina. Pochwyciło ją zimno wody, daleko w dole widziała głębinę jeziora, niebieskozieloną i bezdenną. Otworzyła usta, żeby krzyczeć, ale żelazna pięść jeziora walnęła ją w twarz kolejnym paralizującym wybuchem zimna.

Na powierzchni jej ciało miotało się w uścisku ojca trzymającego ją za włosy. Jego twarda jak kamień ręka wpychała jej głowę coraz głębiej, ale Nina zdołała wyswobodzić nogę i kopnąć go w żebra. Przeklinając, wyciągnęła jej głowę na powierzchnię, a wtedy nabrała haust powietrza, który dźgnął ją w płuca jak rozgrzane noże. Zamroczony

ojciec cały czas klął. Wypuścił mokre włosy Niny, przewrócił ją na plecy i chwycił za gardło.

– Wracaj do jeziora – szepnął. – Do domu.

Jej głowa znów znalazła się pod wodą. Tym razem widziała, co się dzieje nad pomarszczoną wodą. Nad jej ojcem rozciągało się niebo o zmierzchu. „Dostań się tam – pomyślała nieskładnie, czując, że znów obmywa ją strach. – Po prostu się tam dostań”... i na oślep sięgnęła ręką... Tym, co musnęły jej palce, nie było jednak niebo, lecz otwarta brzytwa dyndająca u paska jej ojca.

Poczuła, jak jej palce zaciskają się na rękojeści. Zimno trzymało ją w zębach i zwierzało szczękę. Nina patrzyła jednak, jak porusza się w pomarszczonej wodzie jeziora, które ją pochłaniało, jak jej dłoń wyszarpuje brzytwę i brutalnym ruchem tnie ojca w rękę. Po chwili zniknęła, a Nina z rykiem wynurzyła się z wody. Kawałek odłamanego lodu na krawędzi wyrwy ciachnął ją w gardło, ale wciąż zaciskała pięść na brzytwie i była wolna.

Dyszząc, leżeli po przeciwnych stronach dziury w lodzie. Ojciec trzymał się za rękę, którą Nina przecięła prawie do kości i z której kręte szkarłatne wstążki spływały na zamrożone jezioro. Nina siedziała skulona po swojej stronie, wstrząsana sięgającymi aż do szpiku dreszczami zimna i przerażenia. Na jej rzęsach i we włosach tworzyły się kryształki lodu, a po szyi spływała strużka krwi. Wciąż trzymała brzytwę wyciągniętą w stronę ojca.

– Jeśli znowu mnie tkniesz – powiedziała, szczękając zębami – zabiję cię.

– Jesteś rusalką – wymamrotał, oszołomiony jej wściekłością. – Jezioro nie chciało cię skrzywdzić.

Wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz. „Nie jestem żadną rusalką – miała ochotę krzyknąć. – Umrę, zanim kiedykolwiek znów pozwolę, żeby woda zamknęła się nad moją głową”. Głośno powiedziała jednak tylko:

– Zabiję cię, tato. Pamiętaj.

I zdołała jakoś dowlec się z powrotem do chaty, gdzie zaryglowała drzwi, zdjęła z siebie ubranie pokryte skorupą lodu, rozpałała ogień, a potem naga i drżąca wpełzła pod stertę srebrnoszarych foczych futer. Później uświadomiła sobie, że gdyby był środek zimy, wstrząs wywołany zimnem na pewno by ją zabił, ale zima właśnie powoli przechodziła w wiosnę i Nina zdołała przeżyć. Ojciec przespał się w szopie myśliwskiej, a Nina, trzęsąc się, leżała pod futrami, wciąż ścisnęła brzytwę i raz po raz kwiliła na myśl o wodzie zalewającej jej twarz, wypełniającej usta i nos żelazistym posmakiem.

„Więc już mam swój jeden strach”, pomyślała. Od tego dnia jeśli coś nie było śmiercią przez utonięcie, to według Niny Markowej nie warto było się tego bać. „Uciekaj stąd”, pomyślała, wydostając się spod futer wystarczająco długo, by znaleźć wśród nich wódkę ojca i pociągnąć kilka tęgich łyków oleistego, pieprznego płynu. „Uciekaj – kołatało jej po głowie. – Tylko dokąd? Co jest przeciwieństwem jeziora? Co jest przeciwieństwem utonięcia? Co jest na najdalszym zachodzie?” Bezsensowne pytania. Nina uświadomiła sobie, że jest lekko pijana. Znów wgramoliła się pod futra i zasnęła jak kamień, a potem obudziła się z krwią zaschniętą na szyi w miejscu, gdzie lodowate palce jeziora próbowały ją zabić, i miała w głowie tylko jedną wyraźną, zimną myśl.

„Uciekaj”.

4

JORDAN

Kwiecień 1946

Boston

– Iiii... wymyka mu się! Niska piłka omija rzucającego się na nią Johnny'ego Pesky'ego...

– Garrett – powiedziała Jordan do swojego chłopaka, gdy na trybunach stadionu Fenway Park wokół nich rozległ się jęk. – Przecież ja tu jestem i widzę, że niska piłka omija Johnny'ego Pesky'ego. Nie potrzebuję twojej transmisji na żywo.

Był idealny wiosenny dzień: zapach trawy na zapolu, szemranie i gwar tłumu, drapanie ołówków na kartach do zapisywania wyników. Garrett się uśmiechnął.

– Przyznaj, że kiedy byłem na szkoleniu, brakowało ci naszych bejsbolowych randek. Nawet moich transmisji na żywo.

Jordan nie mogła się powstrzymać i uniosła leicę, żeby pstryknąć zdjęcie. Z dołkami w policzkach, szerokimi barkami i w nasuniętej na krótkie brązowe włosy czapce Red Soxów Garrett wyglądał jak ucieleśnienie amerykańskiego chłopięcego uroku z reklam Coca-Coli. Albo z plakatu zachęcającego do zaciągania się do wojska. Zgłosił się pod koniec ostatniej klasy, dając Jordan swój licealny pierścień, ale niefortunne złamanie nogi w czasie szkolenia lotniczego i nagły koniec wojny z Japonią niedługo później bardzo skróciły jego pobyt w siłach powietrznych. Jordan wiedziała, że Garrett jest z tego

powodu niepokieszony. Gdy się zaciągał, marzyły mu się walki powietrzne nad Pacyfikiem, a nie to, że zwolnią go ze służby z przyczyn medycznych, zanim w ogóle opuści kraj.

– Jasne, brakowało mi naszych bejsbolowych randek – odpowiedziała żartobliwym tonem. – Może nie tak bardzo jak Teda Williamsa na pozycji pałkarza, ale...

Garrett rzucił w jej kucyk skorupką od fistaszka.

– Założę się, że w mundurze sił powietrznych wyglądałem lepiej niż Ted Williams.

– Z pewnością, zwłaszcza że Ted Williams był w piechocie morskiej.

– Piechotę morską wynaleziono tylko po to, żeby armia miała kogo zabierać na spacer nad morzem.

– Nie wspominałabym o tym żołnierzom piechoty morskiej.

– Są za głupi, żeby zrozumieć dowcip.

Do kija podszedł następny zawodnik Yankeesów i Jordan uniosła leicę. Wiedziała, że dopiero w ciemni będzie mogła się dowiedzieć, czy udało jej się uchwycić najlepszy moment uderzenia. Bezbłędne wyczucie czasu – potrzebował go każdy wspomniały fotograf.

– Przyjdiesz na obiad w niedzielę? – Garrett grzebał w torbie w poszukiwaniu orzeszków. – Rodzice nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą.

– Nie mają nadziei, że jesienią zaczniesz się spotykać z dziewczyną z któregoś z żeńskich stowarzyszeń uniwersyteckich?

– Daj spokój, przecież wiesz, że cię uwielbiają.

Rzeczywiście uwielbiali, zresztą podobnie jak Garrett, co było dla Jordan pewnym zaskoczeniem. Spotykali się, odkąd chodziła do przedostatniej klasy, i już na początku postanowiła, że nie dopuści do tego, by złamał jej serce, gdy postanowi wyjechać i o niej zapomnieć. Uczniowie ostatniej klasy liceum wyjeżdżali do college'u albo na wojnę, ale w taki czy inny sposób zapominali. I nie było w tym nic złego,

bo według Jordan całe to pobieranie się z licealną sympatią zaraz po szkole było niedorzeczne (nawet jeśli jej tata twierdził, że w jego wypadku sprawdziło się znakomicie). Nie, Garrett Byrne w końcu odejdzie do innej dziewczyny, a Jordan będzie miała trochę złamane serce, ale wysoko uniesie głowę, zarzuci leicę na szyję, pojedzie pracować w strefach wojennych w Europie i będzie romansowała z Francuzami.

Tylko że Garrett nie zapomniał. Po zwolnieniu z wojska z przyczyn medycznych wrócił do domu, wciąż o kulach, i wznowił ich popołudniowe randki bejsbolowe oraz niedzielne obiady ze swoimi rodzicami, którzy rozpromieniali się na widok Jordan, tak samo jak jej tata rozpromieniał się na widok Garretta. Przytłaczający ciężar tych rodzicielskich oczekiwań sprawiał, że wszystko wydawało się tak pewne, tak ustalone, że podróz po strefach wojennych w Europie i robienie zdjęć dla magazynu „LIFE” stawały się równie prawdopodobne jak wyprawa na Księżyc.

– No, zgódź się. – Garrett objął ją w talii i trącił nosem w ucho w sposób, od którego miękły jej kolana. – Obiad w niedzielę. Potem będziemy mogli się gdzieś przejechać, zaparkować...

– Nie dam rady – odpowiedziała z żalem. – Msza z tatą i panią Weber.

– Więc to coś poważnego. – Garrett znowu się uśmiechnął. – Jaka jest ta Fräulein twojego ojca?

– Bardzo miła. – Zjedli razem jeszcze jedną kolację, tym razem w maleńkim i nieskazitelnie czystym mieszkaniu Anneliese Weber. Była dla nich serdeczna i gościnna, przygotowała chrupiące sznycle oraz jakieś austriackie ciasto nasączone rumem i polane różowym lukrem. Ojciec Jordan zupełnie się rozanielił, gdy Anneliese mu usługiwała, a Jordan zachwyciła się małą Ruth, która spytała szeptem, jak się czuje *der Hund*. Było naprawdę w porządku.

Jordan nie wiedziała dlaczego, ale ciągle wracała myślami do tamtego zdjęcia. Za sprawą jakiegoś dziwnego kaprysu światła i obiektywu

Anneliese Weber wyglądała na nim równie delikatnie i serdecznie jak brzytwa.

– Jest bardzo miła – powtórzyła Jordan. Soxci wygrali cztery do dwóch i wkrótce Jordan z Garrettem wychodzili ze stadionu razem z resztą kibiców, deptając skorupki po fistaszkach i wyrzucone karty do zapisywania wyników. – To będzie nasz rok – oznajmiła Jordan. – W tym sezonie wygramy wszystko, czuję to. Odprowadzisz mnie do antykwariatu? Obiecałam tacie, że do niego zajrzę.

Trzymając się za ręce, szli w tłumie kibiców, aż wreszcie skręcili w aleję Commonwealth i Jordan wydłużyła krok, żeby zrównać się z Garrettem, który wciąż lekko utykał. To ten dzień, pomyślała, niespodziewany wiosenny dzień nadchodzący pod koniec zbyt długiej zimy. Gdy skręcili za głównym domem towarowym przy Commonwealth, odniosła wrażenie, że gdy oni dwoje szli chwiejnym krokiem, całkowicie upojeni ciepłem, cały Boston zrzucił ciężkie płaszcze i wyległ na ulice, błogo zwracając blade po zimie twarze ku niebu. To dlatego Jordan uwielbiała to miasto – w jego mieszkańcach było coś, co w zadziwiający sposób zespalało ich ze sobą nawzajem, bardziej kojarząc się z miasteczkiem niż z dużym miastem. Zdawało się, że wszyscy się tu znają, wiedzą o swoich smutkach i sekretach... I właśnie to sprawiło, że Jordan spochmurniała.

– Chciałabym więcej o niej wiedzieć. – Usłyszała swoje słowa.

– O kim? – Przed chwilą Garrett opowiadał o zajęciach, na które zamierzał zapisać się jesienią.

– O pani Weber. – Jordan zaczęła skubać pasek leiki.

– Co chciałabyś wiedzieć? – spytał rozsądnie Garrett. Właśnie mijali hotel Vendome i Jordan o mało nie weszła pod koła chevroleta coupe. Garrett odciągnął ją w samą porę. – Ostrożnie...

– Właśnie – powiedziała Jordan. – Jest ostrożna. Niewiele o sobie mówi. A kiedy zrobiłam jej zdjęcie, uchwyciłam przedziwny wyraz jej twarzy...

Garrett się roześmiał.

– Nie można kogoś nie lubić tylko dlatego, że zrobił dziwną minę.
– Dziewczynom ciągle się to zdarza. Czasami przyłapujesz chłopaka, jak przygląda ci się w szkolnym korytarzu, przekonany, że tego nie widzisz. Nie mam na myśli patrzenia na dziewczyny w taki sposób, w jaki zazwyczaj patrzą na nie chłopcy – uściśliła. – Mam na myśli spojrzenie, od którego przechodzą cię ciarki. On nie chce, żebym je zauważyła, i taka mina może trwać tylko sekundę, ale wystarczy, żebym pomyślała, że wolę z nim nie zostawać sam na sam.

– Dziewczyny naprawdę tak myślą? – Garrett wydawał się zdziwiony.

– Nie znam ani jednej, która by tak kiedyś nie pomyślała – oświadczyła Jordan. – Po prostu chcę powiedzieć, że czasami zauważasz u kogoś nieodpowiedni wyraz twarzy i to cię do niego zraża. Sprawia, że nie masz ochoty ryzykować, poznawać tego kogoś bliżej.

– Ale tu nie chodzi o chłopaka, który łypie pożądliwie zza drzwiczek szkolnej szafki. Chodzi o kobietę, którą twój ojciec zaprasza do domu na kolację. Musisz dać jej szansę.

– Wiem.

– Twój tata myśli o niej naprawdę poważnie. – Garrett lekko pociągnął Jordan za kucyk. – Może na tym polega cały problem.

– Nie jestem zazdrosna – obruszyła się Jordan, lecz po chwili się poprawiła: – No dobrze, może i jestem. Tylko trochę, troszeczkę. Ale naprawdę chcę, żeby tata był szczęśliwy. A pani Weber jest dla niego dobra. Widzę to. Tylko że zanim powierzę jej swojego ojca, chciałabym się o niej czegoś więcej dowiedzieć.

– Może po prostu ją spytaj.

Antykwariat McBride'a mieścił się na rogu Newbury i Clarendon – nie była to najlepsza dzielnica handlowa w Bostonie, ale wystarczająco zamożna. Odkąd Jordan sięgała pamięcią, jej ojciec co rano pokonywał pieszo trzy mile dzielące ich dom od antykwariatu, który

dawniej należał do jego ojca, wchodził po wytartych kamiennych schodach prowadzących do drzwi z bardzo starą kołatką z brązu i otwierał okiennice, odsłaniając duże pozłacane okno. Tym razem Jordan zmarszczyła brwi na widok wystawy, zauważając, że lampy z frędzlami i wiktoriański stojak na kapelusze z poprzedniego dnia ustąpiły miejsca manekinowi krawieckiemu w starej sukni ślubnej z koronki, a na wyściełanej aksamitem tacy połyskiwała cała gama kaboszonowych pierścionków. Jordan pierwsza weszła po schodach i usłyszała słodki dźwięk dzwonka towarzyszący otwieraniu drzwi. Wcale nie zaskoczył jej widok ojca, który stał za długą ladą i z miną posiadacza trzymał Anneliese Weber za rękę.

– Mam wspaniałe wieści, moja panno!

Jordan nie potrafiła opisać mieszaniny emocji, jakie w niej wzięły – powodów, dla których jej serce ścisnęło się ze szczerego zadowolenia na widok szczęścia na twarzy ojca, gdy spoglądał na lewą dłoń austriackiej wdowy, ozdobioną zabytkowymi granatami i perłami... ani tych, dla których jednocześnie poczuła ucisk w żołądku, podchodząc, żeby pogratulować swojej przyszyłej macosze.



„Może po prostu ją spytaj”, powiedział Garrett. Okazja nadarzyła się dwa dni później, gdy Jordan wróciła ze szkoły i pani Weber zaprosiła ją na zakupy, podczas których zamierzała skompletować ślubną garderobę. Kiedy wolnym krokiem szły po Boylston Street i Jordan wciąż bezskutecznie próbowała gładko przejść do pytań, które chciała zadać, pani Weber przejęła inicjatywę.

– Jordan, mam nadzieję, że nie czujesz się zobowiązana, żeby nazywać mnie... no, może nie *Mutti*, bo w twoim wypadku byłaby to raczej „matka” albo „mama”. – Uśmiechnęła się, widząc minę Jordan. – W twoim wieku to wydaje się niemądre.

- Trochę tak.
- Cóż, z całą pewnością nie musisz mnie tak nazywać. Nie zamierzam zająć miejsca twojej matki. Twój ojciec mi o niej opowiadał i zdaje się, że była uroczą kobietą.
- Niezbyt dobrze ją pamiętam. – „W zasadzie tylko jej nieobecność, kiedy zachorowała. I wszystkie powody, dla których to się stało, a których nie chcieli mi wyjawić, więc sama je sobie wymyślałam”. Jordan żałowała, że nie pamięta więcej. Spojrzała z ukosa na Anneliese idącą lekkim krokiem w niebieskim wiosennym płaszczu, z małą torebką niesioną w dłoniach w rękawiczkach, i prawie niedotykaną obcasami chodnika. Jordan czuła się przy niej olbrzymia i niezdarza, naga bez swojego aparatu.
- Pomyślałam, że mogłybyśmy pójść do Priscilla of Boston – podsunęła Anneliese. – Zazwyczaj sama szyję sobie ubrania, ale ślub wymaga czegoś wyjątkowego. Nie wiem, czy ojciec omawiał z tobą plany, mężczyźni potrafią być tacy niekonkretni w sprawach związanych ze ślubem. Myśleliśmy o cichej ceremonii za trzy tygodnie, tylko my czworo i kilkoro przyjaciół twojego ojca.
- A z twojej strony?
- Nie będzie nikogo. Za krótko mieszkam w Bostonie, żebym zdążyła się z kimś zaprzyjaźnić.
- Naprawdę? – Jak na kobietę, która wspomniała, że bardzo starała się zdobyć przyjaciół w nowym kraju, i która tak dobrze władała angielskim, wydawało się to dziwne. – Nawet z sąsiadką, z kimś z salonu piękności albo z inną matką w parku?
- Trudno mi przychodzi rozmawianie z obcymi ludźmi. – Niepewny uśmiech. – Mam nadzieję, że zostaniesz moją druhną.
- Oczywiście. – Ale Jordan nie mogła przestać się zastanawiać. „Tyle miesięcy w Bostonie i nie masz ani jednego znajomego?”
- W ramach miodowego miesiąca planujemy z twoim ojcem weekend w Concordzie – ciągnęła Anneliese. – Jeśli zgodzisz się popilnować Ruth.

– Oczywiście. – Tym razem uśmiech Jordan był niewymuszony. – Jest urocza. Już ją pokochałam.

– Ruth tak właśnie działa na ludzi – przyznała Anneliese. Jordan cicho westchnęła.

– Te piękne jasne włosy ma po ojcu?

Chwila milczenia.

– Tak.

– Mówiłaś, że jak miał na imię? Kurt?

– Tak. W jakim kolorze miałabyś ochotę wystąpić na ślubie? – Anneliese weszła do butik i odprawiawszy ekspedientki gestem ręki, zaczęła się przechadzać wśród sukien ślubnych koloru kości słoniowej oraz kwiecistych sukienek dla druhen. – Może w niebieskim? Wspólnie pasowałaby do twojej cery.

Zdjęła rękawiczki, żeby dotknąć palcami materiału, a Jordan przyjrzała się jej dłoniom, pozbawionym pierścionków, jeśli nie liczyć zaręczynowego pęku granatów. Próbowwała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała obrączkę na palcu Anneliese, i była pewna, że nie.

– Wiesz, możesz nosić starą obrączkę – wyrzuciła z siebie, próbując nowej taktyki.

Anneliese wydała się zdumiona.

– Słucham?

– Tata nie miałby nic przeciwko temu, żebyś dalej nosiła obrączkę po mężu. Był częścią twojego życia... Nie myśl, że oczekujemy, byś o nim zapomniała.

– Kurt nigdy nie dał mi obrączki.

– W Austrii nie ma takiego zwyczaju?

– Owszem, jest, ale on... – Przez chwilę Anneliese wydawała się niemal zmieszana. – Po prostu byliśmy dość ubodzy.

„A może skłamałaś, że miałaś męża – pomyślała, chcąc nie chcąc, Jordan. – I może skłamałaś nie tylko na ten temat...”

Usłyszała w głowie pełen wyrzutu głos ojca: „Niestworzone historie”.

– Chyba masz rację co do tej sukienki. – Jordan spojrzała na jasnoniebieską prostą kreację z długą spódnicą. – Ruth też byłoby ładnie w niebieskim, ma takie ciemne oczy. Większość blondynek ma niebieskie, takie jak ty. Widocznie kolor oczu też odziedziczyła po ojcu.

– Tak. – Anneliese dotknęła rękawa jasnoróżowego kostiumu. Znów była opanowana.

– To bardzo przyciąga wzrok. – Jordan próbowała podtrzymać rozmowę. Interesowało ją wszystko, nie tylko Ruth i pierwszy mąż Anneliese, ale z jakiegoś powodu temat obrączki ślubnej wytrącił Anneliese z równowagi. – Ruth знаła swojego ojca czy może...

– Nie, nie pamięta go. Ale był bardzo przystojny. Tak jak twój chłopiec. Chciałabyś zaprosić Garretta na ślub?

– Jeśli ślub odbędzie się w ciągu dnia, Garrett będzie w pracy. Przed wyjazdem na studia dorabia u szefa swojego ojca. Rodzice chcą, żeby też tam pracował, ale na razie marzy mu się tylko latanie samolotami. Garrett nie brał udziału w walce. W czasie szkolenia paskudnie złamał nogę, a zanim się zrosła, wojna dobiegła końca, więc zwolniono go ze służby. Czy twój mąż walczył na wojnie?

– Tak. – Anneliese sięgnęła po kremowy słomkowy kapelusz, przyglądając się jego niebieskiej wstążce. Jordan próbowała ją spytać o rodzinę, ale Anneliese udawała, że nie słyszy. – Zamierzasz wyjechać jesienią razem z Garrettem? – zainteresowała się.

– No cóż... – Jordan zamruła, zbita z tropu. – Chciałabym, ale tata jest temu przeciwny. Mamy rodzinną firmę, więc uważa, że college nie jest mi potrzebny. – „Zwłaszcza że jestem dziewczyną”. – Sam nie studiował i zawsze powtarza, że wcale tego nie żałuje.

– Nie wątpię. Ale jak każda młoda osoba masz własne życie. Może razem uda nam się go przekonać. Nawet najlepszym mężczyzną trzeba czasami pokierować. – Anneliese uśmiechnęła się konspiracyjnie,

wkładając kapelusz na głowę Jordan. – Pięknie. Może przymierzysz tę sukienkę? Dla mnie najlepszy będzie chyba ten różowy kostium...

Jordan wślizgnęła się do przymierzalni, rozbawiona wbrew sobie. Początkowo myślała, że macocha będzie miała wspaniały wpływ na jej samotnego ojca, ale potem ze względu na to, jak mało wiedziała o tej kobiecie i jej przeszłości – nawet gdy Anneliese już zaistniała w ich życiu – budziła w niej pewien niepokój. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że macocha może być... no cóż, jej sojuszniczką. „Może razem uda nam się go przekonać”. Te słowa sprawiły, że Jordan uśmiechnęła się, zapinając niebieską sukienkę z wąską talią i rozkloszowaną spódnicą. Zza przepierzenia dobiegał szelest materiału, bo Anneliese też się przebierała. „Mówiłaś poważnie? – zastanawiała się. – A może po prostu próbowałeś mnie odwieść od zadawania pytań?”

– Pięknie – stwierdziła z uznaniem Anneliese, gdy Jordan wyszła z przymierzalni. – Na tle tego koloru twoja skóra to istne amerykańskie brzoskwinie z bitą śmietaną.

– Ty też wyglądasz uroczo – odrzekła szczerze Jordan. Drobną i elegancką Anneliese w kostiumie koloru młodych róż obróciła się przed trzyskrzydłowym lustrem. Podbiegła ekspedientka ze szpilkami i Jordan podeszła, żeby wyprostować rękaw Anneliese. – Naprawdę pomogłabyś mi przekonać tatę, żeby zmienił zdanie w sprawie college'u? Większość ludzi mówi, że to niemądre z mojej strony, skoro mam fajnego chłopaka i czeka na mnie posada w antykwariacie. Już teraz w weekendy stoję za ladą.

– Nonsens. – Anneliese przyglądała się żakiet w talii. – Takie bystre dziewczyny jak ty... może jeszcze jedna zaszewka w tym miejscu?... należy zachęcać, żeby chciały więcej, a nie mniej.

– W moim wieku chciałaś więcej? – Jordan nie zdołała powstrzymać następnego pytania. – Mówiłaś, że studiowałaś. Na jakiej uczelni?

Niebieskie oczy Anneliese napotkały odbite w lustrze spojrzenie Jordan i kobieta na chwilę się zamyśliła.

– Nie do końca mi ufasz, Jordan – powiedziała w końcu angielszczyzną z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem. – Nie, nie zaprzeczaj. To nic złego. Kochasz ojca i chcesz dla niego jak najlepiej. Ja też.

– Nie chodzi o to, że... – Jordan czuła, jak płoną jej policzki. „Dlaczego musisz węszyć? – zganiła się w myślach. – Czemu nie możesz po prostu trzepotać rękami i piszczeć jak normalna dziewczyna w sklepie z sukniami ślubnymi?” – Nie chodzi o to, że ci nie ufam... Po prostu cię nie znam i...

Anneliese zaczęła, aż Jordan całkiem się zmiesza i zamilknie.

– Niełatwo mnie poznać – wyznała w końcu. – Wojna ciężko mnie doświadczyła. Nie lubię o tym rozmawiać. Poza tym my, Niemcy, nawet w szczytowej formie jesteśmy bardziej powściągliwi niż Amerykanie.

– Myślałam, że jesteś Austriaczką – powiedziała Jordan, zanim zdołała się powstrzymać.

– Jestem. – Anneliese odwróciła się do lustra, żeby się przyjrzeć rąbkowi spódnicy. – Ale jako młoda dziewczyna pojechałam do Heidelbergu... na studia. To odpowiedź na twoje pytanie. Studiowałam tam filologię angielską i poznałam męża. – Uśmiechnęła się. – Czy teraz, gdy już więcej o mnie wiesz, pójdziemy zapłacić i poszukamy sukienki dla Ruth? Niedaleko jest butik z ubraniami dla dzieci.

Policzki Jordan wciąż były gorące, gdy obie wychodziły z butiku, niosąc torby z zakupami. „Ale ze mnie gnida”, pomyślała, besztając się w myślach, lecz Anneliese chyba nie miała jej tego za złe, bo kołysała torebką i szła z uniesioną głową, wystawiając twarz na lekki wietrzyk.

– Mój były mąż powiedziałby, że to pogoda na polowanie – zawołała pod wpływem jakiegoś wspomnienia. – Kiepsko poluję, ale

w takie dni zawsze lubiłam być w lesie. Wiosenny wietrzyk przynosi wszystkie zapachy wprost do twojego nosa...

Jordan zastanawiała się, dlaczego znowu poczuła ucisk w żołądku, mimo że Anneliese nagle zrobiła się taka wylewna. „Dlatego że jesteś zazdrosna – pomyślała z miażdżącą pogardą dla samej siebie. – Bo nie chcesz się dzielić ojcem i masz do niej żal. To podłe i paskudne, Jordan McBride. Natychmiast przestań”.